Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 40

Przedruk artykułów bez zgody Redakcji wzbroniony.

ZDZISŁAW STAHL

Ludzie gniją w Naprawie

Jalu Kurek a Ignazio Silone.- Powieść o inercji i nędzy.- Prawda czy fałsz?

Zamknąwszy książkę, rzuca się jeszcze raz okiem na tytuł: „Grypa szaleje w Naprawie". Szaleje? Szał jest szczytową fazą namiętności, rozpętaniem żądzy i dążenia, podczas gdy w Naprawie ludzie poprostu jak muchy padają, giną bez walki, bez obrony i bez wielkiego żalu.

Wszystko w tej Naprawie, w podhalańskiej wiosce, widzianej oczami Jalu Kurka, najdalsze jest od szalenia. Życie tamtejsze wlecze się, pełza, gnije, coś się czasem topi i znowu marznie, coś śmierdzi i cuchnie, albo rzadko kiedy pachnie. Poprostu tylko czas mija i siłą inercji ludzie trwają przyciśnięci konicecznością swego istnienia, przeciw któremu nie umieją się zbuntować.

Kto czytał włoską powieść Ignazio Silone pt. „Fontamara" czyli taka właśnie Naprawa na skalistej glebie półwyspu Apenińskiego, „najbiedniejsza i najbardziej zacofana wieś w Marsica", tego szczególnie musiała uderzyć przy podobieństwie tematu i tła ta krańcowa przeciwność tamtejszej i polskiej natury, dobrze zdaje się zilustrowanej przez autora „Naprawy". Włoscy nędzarze spierają się, walczą i wojują, spiskują, zabijają i buntują się, gdy na naszem Podkarpaciu koło Rabki cóż dostrzegł bystry pisarz i obserwator?

Powieść Jalu Kurka, nagrodzona przez Akademję Literatury, jest świetnem opowiadaniem o kryzysie, o nędzy wsi polskiej, o zbyt wysokich kosztach państwa, o niskim stopniu kultury i wielu innych, smutnych objawach. Ale to wszystko nie jest najważniejsze. Przedewszystkiem jest to przeraźliwy dokument bierności i zastoju, bagnistości życia. Dokumentem jest zarówno autor sam i jego artystyczna percepcja jak i wcale wiernie opisywana rzeczywistość.

Na wsi, najbardziej zapadłej, możnaby dostrzec przebłyski ludzkiej energji, odczuć jakieś tętno życia. Autor nie dostrzega nic podobnego, albo dlatego, że sam jest wewnętrznie zastały, alboteż jego obraz marazmu życia polskiego ma być właśnie protestem i buntem, głośnem wołaniem o rozpęd, dynamikę i ideę.

Książka ma za temat wieś i prowincję, ale bohaterami jej są również ludzie wykształceni, t. zw. inteligenci. Ci „inteligenci" zaś kończyli szkoły i uniwersytet w Krakowie, w środowisku najwyższej kultury, skąd mogli wywieść entuzjazm, posłannictwo, ideę albo przynajmniej aktywne poczucie obowiązku lub zamiłowanie do swego zawodu, będące ożywczem źródłem wewnętrznego zadowolenia i motorem działania.

Nic z tego nie wywieźli. Stają w miasteczku Jordanowie i sąsiedniej wsi Naprawie, gdzie rozgrywa się akcja powieści, jako zawiedzeni malkontenci; dar kultury przywieziony przez nich zapadłej prowincji to gorycz niespełnionych nadziei, małoduszny egoizm, mazgajstwo niedołęgów, niezdrowa erotomanja, oraz absolutny brak poczucia sensu i celowości swego istnienia. Tymczasem wieś charuje na swojej nieurodzajnej, skalistej glebie, niedojada, obchodzi się bez soli, omasty, bez światła; ludzie trwają w brudzie i chłodzie, mnożą się i giną, żebrzą, kradną i podpalają, dają się gnębić i wyzyskiwać bez sprzeciwu albo oporu.

Główne postacie powieści nie posiadają absolutnie żadnej idei, żadnej fizjognomji kulturalnej. Nie wierzą w Boga ani w djabła, nie są religijni aniteż z nią nie walczą, nie są patrjotami, ani komunistami, nie są ludowcami, ani socjalistami. Nie posiadają, ani żadnej idei, ani nawet zamiłowania, któreby wypełniało treścią ich nędzną wegetację. Zawód swój traktują wyłącznie, jako podstawę materjalnej egzystencji. Nauczyciel i nauczycielka, ślepnący skrzypek — wszyscy odrabiają swoją pańszczyznę nic z tego, wewnętrznie nie wynosząc, ani nic z siebie nie dając.

Niektórzy z nich żywią wcale marne zachcenia, które mają odgrywać rolę ideałów. Ślepnący grajek marzy o wyjeździe do Paryża, a rozumujący na polityczne tematy emeryt hoduje nadzieję na podróż do Rzymu. Obaj nie umieją swoich marzeń urzeczywistnić i nic na serjo w tym kierunku nawet nie robią.

Wszyscy razem są przeraźliwemi miernotami, nie umiejącymi godzić się ani walczyć z losem, niezdolnemi do działania, pozbawionemi woli i nieprzejętemi żadnemi dążeniami. Ich niezadowolenie, bezpłodne i bierne, wyraża się tylko w narzekaniu, a nastrojem panującym jest depresja i beznadziejność. Urzędnicy czekają z przerażeniem na obniżkę pensji, chłopi na nowe podatki, bohater powieści na nieuchronną utratę wzroku. Wobec spodziewanych ciosów nikt nie rozwija żadnej działalności zapobiegawczej, wszyscy czekają pokornie i leniwie na wyroki losu.

Obraz polskiego życia, nakreślony w powieści Jalu Kurka, jest zbyt sugestywny i przekonywujący, by można nad nim przejść do porządku i zlekceważyć ten przeraźliwy dokument marazmu i zastoju. Czy Jalu Kurek ma rację? Czy tak właśnie wygląda przekrój polskiego życia? Czy masy ludowe trwają w nędzy bez zdolności i energji do dźwignięcia się, czy inteligencja rozkłada się w niedołęstwie i mazgajstwie, pozbawiona ideałów i nieumiejąca dążyć do czegoś? Czy nuda i „bryndza" charakteryzują najlepiej kulturę polskiego życia?

Odpowiedź nie będzie prosta, ani łatwa. Widzenie Jalu Kurka jest prawdziwe i nawskróś błędne a niesprawiedliwe. Jest prawdziwe dla ogromnej liczebnej większości społeczeństwa oraz poniekąd (brak ideałów!), dla twórczości artystycznej i literackiej. Jest błędne, jeśli chodzi o liczebną mniejszość narodu, która wykazuje niesłychanie wysokie napięcie energji, woli i zdolności do czynu. Tych objawów nie dostrzegł, albo też nie zanotował pisarz w swojej powieści.

Istotną cechą polskiego życia jest właśnie rażąca dysproporcja pomiędzy aktywnością cienkiej warstwy, liczebnej mniejszości a pomiędzy martwotą szerokiego. ogółu. Dysproporcja ta jest wytłumaczalna przebiegiem historycznym ostatnich dziesięcioleci. Naród polski w tym czasie stanął wobec wielkich przemian i uległ szybkiej, wewnętrznej ewolucji. Takie okresy, w których organizm społeczny podejmować musi w krótkim czasie wielkie zadania, dobywają zwykle energję na wyrost niejako, która skupia się w nielicznej mniejszości. Masa pozostaje w tyle, posłuszna i prowadzona.

Drugą właściwością naszego położenia kulturalnego jest brak związku pomiędzy tonącą w obłokach oddalenia „górą" a pomiędzy codziennem życiem szerokich warstw. Do zapadłego kąta Naprawy nic jasnego i ożywczego nie przenika nietylko z Warszawy, ale nawet promieniowania Krakowa, odległego o niespełna setkę kilometrów nie odczuwa się wcale. Taksamo z Naprawy nie wyrasta poza jej krąg i ponad jej szary poziom żaden wzlot ludzkiej inicjatywy ani przedsiębiorczości, nie rodzą się prądy energji społecznej, by płynąć następnie ku ośrodkom centralnym. I pod tym względem uderzające jest przeciwstawienie do „Fontamary" Ignacego Silone, gdzie wieś jest przecież objektem zainteresowania ze strony górnych warstw i sama swoją inicjatywą pnie się ku górze, gdzie są nici łączące całość społeczeństwa, istnieje związek przez autora, wrogiego faszyzmowi, ujemnie. oceniony, ale jednak on istnieje. Pojawiają się emisarjusze z prowincjonalnego miasta, a nawet z dalekiej stolicy i z drugiej strony rozpaczliwe wysiłki wioski dosięgają władz regjonalnych i kołaczą nawet o mury Rzymu.

Wyjaśnić coś, albo wytłumaczyć sobie, to nie znaczy jednakże zarazem aprobować i uznać zjawisko za dodatnie. Dysproporcje w wewnętrznej strukturze narodowej polskiej, są zjawiskiem ujemnem i należy dążyć do ich usunięcia. Liczebna mniejszość od stosunku przeciwstawienia, dominowania oraz lekceważenia, przechodzić musi do nowych, wyższych form współdziałania. Musi podnosić i pobudzać szeroką masę, organizować jej energję, dźwigać kulturę, przenikać swojemi własnemi dążeniami i budzić zapał dla swoich ideałów. Gdyby zamknęła się w sobie, gdyby wygodnie i zazdrośnie okopała się tylko na zdobytych pozycjach, utrwalając dysproporcje, dalszy rozwój społeczny wszedłby na fałszywe tory.

Bierność i leniwa rezygnacja z potrzeb, niemrawe zachcenia, występujące zamiast rzeczywistej woli, przeradzającej się w dążenie, bezpłodne narzekania w miejsce czynnego protestu, doktryny i hasła od święta, zamiast ideałów, przenikających i poruszających codzienny wysiłek człowieka — oto śmiertelni wrogowie polskiego życia i główne przeszkody, zawalające drogę rozwoju naszej kultury.

Autor „Grypy w Naprawie", odtwarzając rzeczywistość i malując jej obraz sugestywny, choć jaskrawy, dając szczery wyraz swemu widzeniu polskiego życia, oddał kulturze naszej dobrą usługę, bez względu na to, czy chciał swoją książką bić na alarm i zakładać protest, czyteż wyśpiewał tylko szczerze pieśń swojej odczuwanej beznadziejności.

Kronika

Wyszedł nowy zeszyt *Ruchu Literackiego*, Nr. 4—5, za kwiecień i maj 1935.

Treść zeszytu następująca: Juljan Krzyżanowski „Tragedja Orliki", Mirosław Ogórek „Motyw bohaterstwa w literaturze", Janina Kulczycka „Czekamy na nową literaturę", Selma Szapirówna „Żeromski a Strug", Stanisław Cywiński „O *Polce* Norwida i o innych Polkach", Stanisław Pigoń „Warjant *wędrownego sztukmistrza* Norwida", Satnisław Wasylewski „Trzy listy Kornela Ujejskiego z roku 1853". Józef Birkenmajer „Listy Sienkiewicza o *Rodzinie Połanieckich*", Stanisław Helsztyński „Listy Przybyszewskiego z Kongsvinger", Eugenjusz Land „Listy Żmichowskiej i Węgierskiej", Stanisław Cywiński „Ze studjów nad Heglem w Polsce". Władysław Ziemacki „Świadectwo o Norwidzie". Mieczysław Piszczkowski „O *Moralistów staropolskich*", Piotr Grzegorczyk „Dateana polskie".

Ostatni numer *Prosto z mostu* zawiera: artykuł artysty operowego Romana Wragi pt. „Tak dalej być nie może", protestujący przeciw dzisiejszej gospodarce operowej dalej fragment z pracy Jerzego Kuncewicza pt. „Sowiecki kapitalizm państwowy", opowiadanie W Skuzy pt. „Gruła i pierony", Stefanji Szurlejówny reportaż z Gołuchowa, uwagi Henryka Korotyńskiego o pracy Lorentowicza pt. „La Pologne en France". Heleny Radziukinas o „Siostrach" Tołstoja, felietony: Wojciecha Wasiutyńskiego „Między Grobarzem i Wójtem" i J. Waśniewskiego pt. „Człowiek w paski"

—o—

MAURICE DONNAY

2

Powrót z Jerozolimy

Sztuka w czterech aktach. — Przekład Marji Orzechowskiej

PANI AUBIER. — Twój wuj ma słuszność, Anno: wydałam dziesięć tysięcy franków na twoją naukę gry na fortepianie, a nie potrafiłabyś odsylabizować „Dzwonów z Corneville".

ANNA. — Oho! Widzę, że się ta historja na mnie skrupi!

PANI AUBIER. — Miałaś do dwunastego roku życia fräulein, do ośmnastego miss, a umarłabyć z głodu zarówno w Niemczech, jak w Anglji.

ANNA. — Wcale nie, umiem powiedzieć kocham cię i żądać ciepłej wody w każdym języku... nawet w rosyjskim! Widzisz więc mamusiu, że jesteś niesprawiedliwa.

WUJ EMIL. — Z tem można sobie zawsze dać rady.

JERZY. — To zależy od zawodu, ktorybyś tam uprawiała.

WUJ EMIL. — Ale wszystko to nie wyjaśnia nam, w jaki sposób Judyta Fuchsyani została żoną Gastona de Chouzé.

JERZY. — Poczekajcie. Judyta uczęszczała więc pilnie do liceum Racine'a, odprowadzana codziennie przez guwernantkę Angielkę, a Gaston de Chouzé chodził do konwiktu przy ulicy Madryckiej.

PANI AUBIER. — To w tej samej dzielnicy.

JERZY. — Właśnie. Spotykając tę młodą osóbkę, kroczącą z grubą teką pod pachą, w luźnym płaszczyku i z rozwichrzoną czupryną, pod futrzanym toczkiem...

ZUZANNA. — Jakbym ją widziała.

JERZY. — Gaston zakochał się po uszy. Nie mówiono z sobą...

ANNA. — Patrz pod: guwernantka.

JERZY. — ...ale wymieniano spojrzenia, upuszczano kwiatek, który podnosiło drugie, a po powrocie do domu, robiono tysiące znaków przez okno.

ZUZANNA. — To bardzo romantyczne.

WUJ EMIL. — Nie powiem, bym tego nie lubił.

JERZY. — Wreszcie, pierwsze i jak zobaczycie decydujące zetknięcie, nastąpiło na dziedzińcu Sorbonny. Obydwoje zdawali tego samego dnia baccalaureat. Judyta, przystępująca po raz pierwszy, zdała wspaniale, a jeśli próbujący trzeci, czy czwarty raz Gaston nie zrył i tym razem, to tylko zasługa Judyty, która znalazła sposób, by mu podać swoje wypracowanie.

WUJ EMIL. — Widać ma dobre serce.

JERZY. — W ten sposób się zaręczyli. Judyta miała siedemnaście lat, Gaston dwadzieścia. Zaczekał do swej pełnoletności, by zakomunikować rodzicom, że zamierza poślubić pannę Fuchsyani. Ach! Nie poszło to gładko. Rodzina de Chouzé, która się zalicza do najstarszej arystokracji i liczy między antenatami dwóch polnych marszałków, jednego konnetabla, pięciu arcybiskupów, trzy kanoniczki, trzynaście królewskich kochanek i jednego faworyta — odrzuciła z oburzeniem myśl o związku z córką izraelickiego bankiera. Pomyślcie tylko, de Chouze, poślubiający pannę Fuchsyani!

WUJ EMIL. — Nie mówcie mi nawet, to gorzej niż Montecchi i Capuletti!

JERZY. — Zakończyło się mniej tragicznie. Gaston był niemożliwie rozpieszczonym jedynakiem; groził, że zacznie robić głupstwa. Ze swej strony Judyta wbiła sobie w głowę, że to małżeństwo dojdzie do skutku...

ZUZANNA. — A gdy ona czegoś chce, to chce naprawdę. Nie żenowała się też wtargnąć par force do obcej rodziny. Widocznie jej duma nie cierpiała nad tem.

WUJ EMIL. — Zaczekaj trochę Zuzanno, ona się już pakuje.

— ZUZANNA. — Więc co?

WUJ EMIL. — Mówisz o niej, jakgdyby już pojechała.

MICHAŁ. — Duma nie ma tu nic do czynienia. Ona kochała Gastona de Chouzé.

KAPITAN. — Być może także, że opór jej przyszłych teściów podsycił jeszcze jej ambicję.

MICHAŁ. — To jedna z tych natur, które zapalają się w miarę rosnących trudności: wytrwałość, energja, wola zwycięstwa w walce, posiadają też pewną szlachetną stronę.

ZUZANNA. — To zależy od punktu widzenia.

ANNA. — Przedewszystkiem przeszła na katolicyzm.

JERZY. — Rodzina Gastona postawiła to za warunek małżeństwa. Wszystko pięknie, Judyta się wychrzciła, nie przestano jednak w rodzinie męża traktować ją jak obcą, jak intruza.

WUJ EMIL. — A więc pokazuje się, że niewarto było się nawracać.

JERZY. — Niebawem wybuchły spory na tle religijnem: dochodziło nawet do scen niezwykle gwałtownych. Gaston kochał żonę, ale w tych kwestjach ulegał wpływom rodziców.

WUJ EMIL. — I swoich przodków: arcybiskupów, kanoniczek, marszałków polnych, konnetabla, metres i faworyta... nie zapominajmy o faworycie.

KAPITAN. — Zawsze się podlega wpływom przodków, choćby nawet nieznanych.

JERZY. — Judyta Fuchsyani, przeistoczona w Henrykę de Chouzé, nie tolerowała docinków i to nieraz bardzo uszczypliwych, których nie szczędzono jej rasie.

ZUZANNA. — W jej obecności nie wolno tknąć niczego, co żydowskie.

MICHAŁ. — Słusznie postępuje, popierając swoich. Nie miejmy tym ludziom za złe, ich godnej podziwu solidarności.

KAPITAN. — Tak jest i raczej bierzmy ją sobie za przykład.

MICHAŁ. — Ona wierzy w wyższość Izraela; jest Żydówką i szczyci się tem. To bardzo piękne.

ZUZANNA. — Poco więc przeszła na katolicyzm? Jedno przeczy drugiemu.

MICHAŁ. — Powtarzam, kochała Gastona de Chouzé.

ZUZANNA. — Ależ nie. Nazwisko, tytuł, oto co ją pociągało do tego małżeństwa. Zapragnęła się wydostać ze swego środowiska i zostać wicehrabiną, jednak nikogo to nie oszuka, wszyscy wiedzą, że jej szlachectwo nie datuje się od wojen krzyżowych.

WUJ EMIL. — Conajwyżej od krzyżowania.

ZUZANNA. — Jak na kobietę tak inteligentną, wyjątkową nawet, nie jest to dość logiczne.

AUBIER. — Jestem zdania Zuzanny: jest tu bez wątpienia pewna dysharmonja.

MICHAŁ. — Och, papo, trzeba jej to wybaczyć.

ZUZANNA. — Trzeba jej wszystko wybaczyć.

MICHAŁ. — Nie, ale takich dysharmonij pełno jest i w naszej rodzinie.

WUJ EMIL. — Co ty pleciesz?

AUBIER. — Naprzykład?

MICHAŁ. — Przykładów nie brak. Ty sam, czyż nie jesteś starym republikaninem, republikaninem z pierwszej minuty? Robiłeś barykady za Cesarstwa...

AUBIER. — Tak, więc co z tego?

MICHAŁ. — To, że kupiwszy ten oto zamek od pośrednika, który sam nabył go od zrujnowanych szlachciców — zatrzymałeś troskliwie te oto portjery w złote lilje... jakoteż inne salamandry

AUBIER. — To twoja matka lubi te kawałki.

MICHAŁ. — I pokazujesz z dumą pokój, w którym nocował Franciszek I.

WUJ EMIL. — To nie twoja wina, co ty tu masz do powiedzenia.

MICHAŁ. — Gdyby dawni posiadacze tego domu nie zabrali swoich rodzinnych portretów, ręczę, że zdobiłyby nadal te ściany. Zarzucacie pani de Chouzé zdradę wiary przodków, chociaż dopuściła się jej jedynie zewnętrznie, gdy tymczasem my dopuszczamy się jej o każdej chwili i w sposób definitywny.

PANI AUBIER. — Jesteśmy dobrymi katolikami.

MICHAŁ. — Tak jest: kiedy nasza najstarsza siostra, nie mogąc poślubić ukochanego człowieka — wstąpiła do klasztoru, tatuś chciał zamordować jej spowiednika.

WUJ EMIL. — Co to, to prawda.

MICHAŁ (do ojca). — Dziś, kiedy, należy do kongregacji nieuznanej przez prawo i kiedy ma opuścić Francję, do twojego serca powrócił duch tolerancji.

WUJ EMIL. — I to też prawda.

AUBIER (zapalając się). — Mów dalej, proszę. A ty, który masz siostrę zakonnicą i brata żołnierza, ty piszesz książki, które ci robią opinję anarchisty! Wyobrażasz sobie, jakie to dla mnie przyjemne!

MICHAŁ. — Tak, jesteśmy francuską rodziną, pozbawioną jedności i solidarności w naszych wierzeniach, bez logiki i bez przekonań. Idziemy każdy swoją drogą, w najrozmaitszych kierunkach. To bardzo smutne.

PANI AUBIER. — Och, znowu zaczynacie? Te dyskusje zawsze się źle kończą. Mówiliśmy o tem, że pani de Chouzé nie kocha męża, oto, co nie ulega wątpliwości.

AUBIER. — To mnie martwi.

ANNA. — Co ci to może szkodzić, papo?

AUBIER. — Bo ta osóbka jest dla mnie bardzo sympatyczna, więc chciałbym wiedzieć, że jest szczęśliwa.

PANI AUBIER. — To raczej pan de Chouzé jest godnym współczucia. W dniu, w którym żona jego pozna mężczyznę, który się jej będzie podobał...

KAPITAN. — W każdym razie nie będzie to żaden wojskowy.

PANI AUBIER. — ...nie zawaha się nawet.

KAPITAN. — Tego się obawiam, w dodatku z jej teorjami o prawie do szczęścia. Wystarczy ją słyszeć rozprawiającą, że życie jest krótkie i że przedewszystkiem trzeba być szczęśliwym.

ANNA. — I ma słuszność, rozumie się.

WUJ EMIL. — Biedny ten Gaston, nie różowa jego przyszłość.

ZUZANNA. — Na szczęście, u niej wszystko się odbywa w mózgu. Nie wydaje mi się, by miała dużo temperamentu.

WUJ EMIL. — Nic się na tem nie znasz, Zuziu. Temperament nie idzie w parze z wyglądem zewnętrznym. Znałem wspaniałe okazy kobiet, zimnych jak marmur, z drugiej strony zaś małe, ledwie zipiące na oko stworzenia, gorące, jak płomień!

ANNA. — Posłuchajno wuju, wydaje mi się, że...

WUJ EMIL. — A dowodem tego jest fakt, że naogół chude bywają namiętniej kochane, niżeli pulchne... zdarza się, że bywają kochane aż do zbrodni! Namiętność czepia się kantów... Tłuścioszki — pieszczoszki, a chude się morduje!

ANNA. — Co do mnie, wolę być pieszczoszką!

PANI AUBIER. — Anno!

ANNA. — Tłuścioszką, chciałam powiedzieć, tłuścioszką.

(Podczas ostatnich słów wraca pani de Chouzé. Na ręku ma płaszcz podróżny i kapelusz. Kładzie płaszcz i kapelusz na krześle. Trzyma jeszcze torebkę i papiery.)

Scena 3.

Ci sami, Henryka.

ANNA. — Twoje rzeczy już spakowane, Henryko? Nic nie zapomniałaś?

HENRYKA. — Nie, nie, mam nadzieję, że nie.

ANNA. — Jerzy, wydałeś zarządzenia co do powozu?

JERZY. — Jeszcze nie... ale zaraz pójdę powiedzieć, żeby zaprzęgali na czwartą.

ANNA. — Odwieziemy cię.

HENRYKA. — Nie róbcie sobie państwo kłopotu.

JERZY. — Pani żartuje.

(Wychodzi.)

PANI AUBIER. — Zresztą nie potrzebuje się pani spieszyć, jeszcze godzina czasu.

HENRYKA (składając swoją torebkę i papiery na dużym stole.) — Panie Michale, moglibyśmy ją wykorzystać, by jeszcze popracować trochę, przetłumaczyłam dla pana dziś rano te piękne poemaTY portugalskiego rabina, o którym panu mówiłam, Jehudy Halévy.

MICHAŁ. — Ach tak! Sjonidy.

HENRYKA. — Jaki śliczny tytuł, prawda? Sjonidy! Możnaby pomyśleć, że to nazwa jakiegoś archipelagu, albo konstelacji. Czy pan chce przeczytać kilka przed moim wyjazdem?

MICHAŁ. — Owszem, chętnie.

AUBIER. — Ach, ta pani de Chouze! Do ostatniej chwili musi pracować.

HENRYKA. — Praca, to jeszcze najlepsze z wszystkiego, co wynaleziono.

AUBIER. — Po polowaniu, drogie dziecko. Żegnam panią... wezmę strzelbę i pójdę w pole, może zobaczę parę kuropatw... O zobaczę z pewnością, tylko, że się nie dadzą podejść.

HENRYKA. — I dobrze robią. Proszę się wstawić w ich położenie.

PANI AUBIER. — Jakto, Juljuszu! Znowu się wybierasz na polowanie? Chodziłeś już rano i musisz być zmęczony.

AUBIER. — Ja — i zmęczony? Nigdy!

HENRYKA. — Znowu pan będzie zabijał biedne stworzenia. Co za barbarzyństwo!

AUBIER. — Hm... cóż robić.

WUJ EMIL. — Ja proszę pani, mam mniej krwiożercze instynkty: idę z wędką na ryby, to całkiem niewinna rozrywka.

HENRYKA. — Ależ pan chyba sam w to nie wierzy! Więc pan uważa, że ponieważ ryby nie krzyczą, to nie cierpią? Kto wie, czy właśnie dlatego nie cierpią jeszcze więcej.

WUJ EMIL. — To prawda, wielkie cierpienia są nieme. Ostatecznie mam pewne usprawiedliwienie: podczas gdy siedzę z wędką, nawiedzają mnie myśli. Dzisiaj rano skomponowałem całą scenę do mojego dramatu.

HENRYKA. — Aa, brawo! Mam nadzieję, że mi pan to przeczyta.

WUJ EMIL. — Pani bardzo łaskawa.

AUBIER. — A więc dowidzenia pani, ukłony dla pana de Chouzé i mam nadzieję, że w przyszłym roku znów panią ujrzymy... tym razem z małżonkiem.

HENRYKA. — Tak, tak, w przyszłym roku napewno.

KAPITAN. — Idę z tobą, ojcze... A więc, do zobaczenia.

(C. d. n.)

KAZIMIERZ RYCHŁOWSKI

T. Pawlikowski i lwowskie podjadki

(W 20-tą rocznice śmierci wielkiego reformatora teatru)

Przed 35 laty...

Dnia 4 października minęło 35 lat od owej pamiętnej w historji teatru lwowskiego chwili, kiedy po raz pierwszy otworzyły się szeroko podwoje nowego wspaniałego gmachu Teatru Wielkiego.

Pierwsze, inauguracyjne przedstawienie, na które złożyły się: *„Baśń nocy świętojańskiej“* J. Kasprowicza, *„Odludki i poeta“* A. Fredry, oraz *„Janek“* Wł. Żeleńskiego, — postawione na najwyższym poziomie artystycznym, — było też pierwszym wielkim triumfem Tadeusza Pawlikowskiego, który po sześcioletniej, chlubnej działalności na stanowisku dyrektora teatru krakowskiego, rozpoczął swą działalność artystyczną na scenie lwowskiej, inaugurując najwspanialszy okres jej rozkwitu.



A zaprawdę, — niełatwe miał Pawlikowski zadanie, zwłaszcza w samych początkach swej pracy na lwowskim gruncie!

Kwestja wyboru pierwszego dyrektora nowej sceny lwowskiej rozpętała w ówczesnej stolicy „Galicji“ istną burzę. Kandydatów było dwóch: Pawlikowski i Heller. Ten ostatni znany już był publiczności lwowskiej od paru lat: od roku 1896 bowiem prowadził teatr w starym gmachu Skarbkowskim, utrzymując się na tem stanowisku aż do zamknięcia tej starej, tak dobrze w pamięci Lwowa zapisanej sceny.

Z chwilą otwarcia konkursu na stanowisko dyrektora nowego teatru, rozpoczęła się ostra kampanja, emocjonująca przez dłuższy czas całe miasto. Osobliwa to była kampanja, w której właściwie żaden z zainteresowanych nie zabierał publicznie głosu, — a opinję publiczną starano się urabiać zapomocą inspirowanych artykułów w pewnej części prasy lwowskiej, oraz zapomocą anonimowych broszurek, skierowanych ostrzem swem przeciw Pawlikowskiemu .A trzeba dodać, że walka to nie była „fair“, — o ile idzie o przeciwników Pawlikowskiego.

Anonimowe podjadki

Klasycznym wzorem takiej, nieprzebierającej w środkach, kampanji, była mała broszurka pt. *„Kto? — Heller czy Pawlikowski?“*, wydana anonimowo w drukarni J. Czaińskiego w Gródku.

Znajdujemy w niej krótką charakterystykę obu kandydatów. A więc najpierw:

Ludwik Heller, były urzędnik kolejowy, ukończony słuchacz wydziału prawniczego, prawnuk Sebastjana Hellera, miejskiego komisarza kwaterunkowego we Lwowie, zaprzysiężonego w r. 1805, lat około 35, energiczny, rzutki i przedsiębiorczy.

Skąd i jakim sposobem z urzędnika kolejowego przedzierżgnął się nagle w dyrektora teatru, nie wiadomo nam bliżej, na wszelki jednak wypadek, chociaż mu brakowało praktycznych wiadomości o naturze przedsiębiorstwa teatralnego... przyniósł do nowoobranego zawodu pewien zasób wiedzy ogólno - ludzkiej i wykształcenie, które daje odbycie studjów uniwersyteckich...

W dalszym ciągu następuje przegląd dotychczasowej działalności Hellera na scenie Skarbkowskiej, którą anonimowy autor ocenia bardzo pochlebnie, podkreślając, że

Komisja artystyczna Wydziału Krajowego wystawia Hellerowi najchlubniejsze parere, podnosząc jego dodatnią i pożyteczną działalność dla rozwoju sztuki.

Zaznacza dalej, że cała prasa lwowska „nie szczędzi mu od przeszło dwóch lat prawdziwych słów zachęty i uznania“, — a jedynym wyjątkiem jest *„Kurjer Lwowski“*, dodając zarazem, że

smutno jednak biedakowi, że w swem naszczekiwaniu widzi się odosobnionym...

Zkolei sylwetka Pawlikowskiego:

Młodzieniec o płowych włosach, takiej brodzie, jasnych rozmarzonych oczach... chadzał sobie do szkół w Krakowie, ale znać za ciasną była mu aula szkolna, — więc nie ukończywszy studjów gimnazjalnych, rzucił ławę szkolną i zdał się na własne samoistne kształcenie. Czem się zajmował, co studjował, jak studjował? To pozostało tajemnicą nawet dla jego otoczenia...

W podobnym stylu utrzymany jest cały życiorys, w którym czytamy o niefortunnym debiucie „pana Tadeusza“ w budce suflerskiej i o „niewinnej zabawce pisania krytyk teatralnych“, której swemu „pieszczoszkowi nie mógł odmówić papa“... Krótko mówiąc: „pan Tadeusz“ — to leń i nieuk, który z nudów, a za protekcją papy wyrósł na wielkość.

Klasyczne jednak są uwagi anonimowego podjadka na temat działalności Pawlikowskiego w teatrze krakowskim:

Z ubytkiem sił pierwszorzędnych... musiał i poważny repertuar ustąpić miejsca rzeczom płytkim lub grubo sensacyjnym, dostrojonym do poziomu artystycznego aktorów, którymi rozporządzał pan Pawlikowski...

Rozpoczęła się gonitwa za czemś nowem, jeszcze nie praktykowanem na polskiej scenie i poczęły wypływać „Nowe Gheto“, „Dla szczęścia“, „Bartel Turaser“, „Lizystrata“, zjawiały się chorobliwe utwory Maeterlincka i inne podobne rzeczy albo wprost wstrętne i oburzające poczucie moralności, lub obrane ze szczypty talentu i zdrowego sensu...

Święcił też ten teatr przerażającemi pustkami, prasa jednym chórem wytykała dyrekcji jej niezdarność i brak prymitywnego pojęcia o prowadzeniu teatru...

Pomijamy dalszą część broszurki, pełnej osobistych nawet inwektyw pod adresem Pawlikowskiego i jego „naganiaczy“ („wszystko, co piszą, to paszkwil, szkandał (!), wstrętny terroryzm...“) i dochodzimy do konkluzji:

Reprezentacja stolicy kraju... grubo się zastanowi, komu powierzyć losy tego przybytku polskiej sztuki... czy człowiekowi nieuchwytnych eksperymentów... który skopał i sponiewierał (!) już jeden przybytek sztuki, a przyjęte na się zobowiązania zbywał drwinami, lekceważąc Reprezentację miasta Krakowa... który zapomocą najpospolitszej blagi i reklamy dziennikarskiej, urósł nie wiadomo dlaczego do rozmiarów kolosu, —

czy temu, który bez chwalby własnej, bez blagi i przekupnej reklamy, cichą a rzetelną i wytężającą pracą złożył dowody, że umie pracować, chce pracować, — a przedewszystkiem upadającą scenę podniósł i utrzymuje ją na stanowisku godnem stolicy kraju.

Heller czy Pawlikowski?

Na niezwykłą tę nawet w naszych stosunkach broszurę anonimową odpowiedział rzeczowo, spokojnie, po męsku dr. Eugenjusz Barwiński. W broszurze swej, zatytułowanej: *„Heller czy Pawlikowski. Głos w sprawie oddania nowego teatru lwowskiego“* (Lwów 1900, druk. W. A. Szyjkowskiego), przygważdża niekonsekwencje *„Przeglądu“* i *„Ruchu Katolickiego“*, które poprzednio nie miały słów zachwytu dla teatru Pawlikowskiego z okazji jego występów z trupą krakowską we Lwowie, — a obecnie zmieniły zupełnie front, występując za Hellerem.

Podnosi wielkie zasługi Pawlikowskiego w dziedzinie układania erepertuaru ze szczególnem uwzględnieniem sztuk polskich, jego wysoką kulturę i wyrobiony smak artystyczn., jego specjalny dar szkolenia i odkrywania wielkich talentów oraz pobudzania twórczości artystycznej młodych pisarzy. Z Hellerem rozprawia się krótko: uważa go za przedsiębiorcę, umiejącego dbać jedynie tylko o swój własny interes, odmawia mu kwalifikacyj artystycznych i powołuje się na opinję Rady miejskiej, która jednomyślnie uznała, że teatr Hellera prowadzonym jest niżej krytyki.

„Sejm i prasa“

Broszura dr. Barwińskiego, będąca przedrukiem artykułów zamieszczanych w „Kurjerze Lwowskim“, — wywołała reakcję ze strony zaatakowanych przez niego dzienników i samego Hellera. Wkrótce też pojawia się nowa broszurka :*„Sejm i prasa o przyszłem kierownictwie Teatru lwowskiego“* (Lwów 1900, druk. „Dziennika Polskiego“). Znajdujemy w niej przedruki polemicznych artykułów z „Przeglądu“, „Ruchu Katolickiego“ i „Dziennika Polskiego“, z których każdy na inną nutę wychwala Hellera, dzieląc między siebie role, celem zdyskredytowania Pawlikowskiego.

I tak *„Przegląd“* straszy Radę miejską Pawlikowskim, który z pośród pięciu krakowskich dyrektorów teatru sam jeden nietylko nic nie zarobił na teatrze, ale nawet poniósł znaczne straty...

„Ruch Katolicki“ pisze o repertuarze sceny krakowskiej:

...sztuki pozbawione wszelkiego etycznego pierwiastku, o chaotycznej, a tak zwanej modernistycznej budowie, urągające i prawom Dekalogu i prawom naturalnym, nie mogły szczerze zająć publiczności i szybko jedna po drugiej upadały. Niektóre zaś były tego rodzaju, że zapoznawanie z niemi szerokiej publiczności musiało być potępionem...

Wreszcie *„Dziennik Polski“* ubolewa, że

...po stronie zwolenników p. Pawlikowskiego chwycono się taktyki kopania przeciwnika...

przestrzega Radę miejską przed oddawaniem teatru lwowskiego, prowadzącego dramat i operę... „choćby w bardzo powołane dłonie, które jednak trudziły się mocno w teatrze, uprawiającymi tylko jeden rodzaj sztuki...“

Nie stawiając wyraźnie kropki nad i, cytuje „Dziennik Polski“ z odpowiednim komentarzem sprawozdanie z obrad Szkolnej Komisji Sejmowej o działalności Hellera jako dyrektora sceny Skarbkowskiej. Oczywiście podkreśla w tem sprawozdaniu rzeczy miłe dla Hellera, jednak w sposób bardzo umiarkowany. Bo też nic więcej z tego sprawozdania wydobyć się nie dało: sił pierwszorzędnych na scenie lwowskiej niema, opera pozostawia niejedno do życzenia, — a tylko „od niedawna zaznacza się postęp we wszystkich kierunkach...“

„J'accuse“ H. Cepnika

Kiedy Pawlikowski objął wreszcie rządy w nowym teatrze lwowskim, zdobywając sobie wstępnym bojem cały kulturalny Lwów, — kampanja prowadzona przeciw niemu przycichła. Ale nie na długo.

Bo oto już w roku 1902 pojawia się broszura *Henryka Cepnika*: *„Dwa lata w Teatrze miejskim we Lwowie.. Rzecz na czasie.* (Lwów 1902, nakładem autora).

Broszura to tak ciekawa, że warto jej parę słów poświęcić.

Na wstępie zastrzega się autor, że *„nie zła wola i nie stronniczość podyktowały mu tych parę myśli, i uwag, ale podyktował mu je żal do obecnego kierownika naszej nawy teatralnej, że tak prędko i tak bardzo wszystkich tych rozczarował. którzy do niego tyle nadziei przywiązywali...“*

Po tym patetycznym wstępie następuje formalne , *„J'accuse“*, — akt oskarżenia obejmujący blisko 60 stron druku. A pociski najgrubszego kalibru!:

...zapowiedziano nam wielkie, wspaniałe dzieło, a scena nasza miała się stać „pierwszą sceną polską“, co znaczy, że miała być nietylko nawskroś polską, narodową, ale i pod każdym względem o całe niebo wyższą od innych scen naszych.

Tymczasem twierdzi dalej Cepnik, — Pawlikowski nietylko tego nie dokazał, ale nawet

przekazaną przez nich tradycją spuściznę lekkomyślnie roztrwonił i zaprzepaścił, sprzeniewierzaiąc się na

każdym kroku... zaprzysiężonym hasłom sceny narodowej.

Niech więc się nie dziwi..., że ten sam ogół, który w początkach jego działalności otaczał go niekłamaną sympatją, — dziś odwrócił się od niego i wygląda z niecierpliwością chwili, kiedy nareszcie nasza Rada miejska założy swoje veto przeciwko nieudolnemu jego i wprost urągającemu zdrowemu rozsądkowi pro wadzeniu teatru, który... niestety pod obecnem kierownictwem jest tej „sztuki narodowej“ karygodnem i zaprzeczeniem i zaprzepaszczeniem.

Ze szczególną animozją odnosi się Cepnik do „aspirantów“ czy „praktykantów“ literackich z tak zwanej „Młodej Polski“ z magiem - Przybyszewskim na czele, forytowanych przez Pawlikowskiego, z pokrzywdzeniem „wszystkich autorów starszych, a dobrze około sceny polskiej zasłużonych“.

Drugi, śmiertelny grzech Pawlikowskiego, — zdaniem Cepnika, — to zupełny chaos i bezprogramowość w repertuarze, stanowiące, jakoby zasadniczą a bardzo znamienną cechę całej działalności Pawlikowskiego w teatrze lwowskim.

Ubolewa też Cepnik nad przewagą utworów obcych nad polskiemi, popierając wywody swe zestawieniem cyfrowem: na 398 ogółem przedstawień było 164 oryginalnych (scil. polskich) utworów, a 234 utworów obcych. Ergo: „zaprzepaszczenie sztuki narodowej“!

Do punktu tego wypadnie nam jeszcze później powrócić.

Niemniej surowym sędzią jest Cepnik w ocenie działalności Pawlikowskiego jako reżysera i wychowawcy aktorów. Oto

okazało się.... że p. Pawlikowski nietylko talentów aktorskich kształcić i wyrabiać nie potrafi, ale że ma jeszcze szczególniejszy dar — marnowaniu ich, ba, niszczenia nawet. ...przedstawienia stawały się coraz słabsze, coraz niedbalsze, coraz gorsze, aż wreszcie doczekaliśmy się przedstawień, które nawet na scenie amatorskiej jeszczeby nie uchodziły...

Na podstawie tych i tym podobnych przesłanek dochodzi Cepnik do konkluzji:

...nie wolno p. Pawlikowskiemu pomiatać tem, co jest najdroższem każdemu Polakowi. Nie wolno mu bruazić świątyni sztuki narodowej bezwstydnemi płodami zwyrodnionej zagranicy, nie wolno mu z powierzonej jego pieczy w najlepszej wierze instytucji krajowej szczepić zgniliznę obyczajów i zatruwać w małuczkich ducha narodowego.

I autor apeluje wręcz do Reprezentacji miasta, niech położy raz koniec tej burzącej wszystko, co szlachetne i patrjotyczne, gospodarce p. Pawlikowskiego..., dodając w zakończeniu przeirzystą groźbę:

„w ostatniej instancji mają jeszcze i wyborcy w tej sprawie prawo głosu“

Ostatnie strzały

Był to ostatni strzał w tej kampanji, skazanej zgóry na przegraną. Pawlikowski przez sześć lat wytrwał na swym posterunku, stając się reformatorem teatru polskiego, stając się dla sceny polskiej tem, czem Antoine dla francuskiej, Reinhardt dla niemieckiej, a Stanisławski dla rosyjskiej.

Znakomity teatrolog, Józef Jedlicz wyraża się o nim w tych słowach:

Sześciolетni okres twórczej działalności artystycznej Pawlikowskiego stanowi epokę nietylko w dziejach sceny lwowskiej, ale wogóle teatru polskiego. Teatr nasz staje się świątynią wspaniałej twórczości dramatycznej Młodej Polski, oraz poważnego repertuaru zagranicznego, tak klasycznego jak i współczesnego...

...Teatr stał się też szkołą znakomitych talentów i indywidualności aktorskich, jak Solscy, Kamiński, Chmieliński, Roman, Adwentowicz, Siennicka, Mrozowska, Bednarzewska, Nowacki...

...tutaj też starsi, znakomici artyści jak Fiszer, Żelazowski, Gostyńska, Cichocka, Feldman... uszlachetniali i doskonalili styl swej gry...

„Dokąd dążymy?!“

Ale pojedynek Heller - Pawlikowski jeszcze nie był zakończony. Jak wiadomo, Pawlikowski stracił na prowadzeniu teatru lwoskiego duży majątek (w pierwszym już roku jego dyrekcji niedobór wynosił 108 tysięcy koron, którą to sumę pokrył z własnych funduszów). Po jego ustąpieniu, w jesieni 1906 roku, objął rządy teatru lwoskiego L. Heller, — który pod naciskiem opinji publicznej i na wyraźne żądanie Komisji teatralnej zaprosił Pawlikowskiego do współpracy w charakterze tzw. kierownika dramatu. Na tem stanowisku pracował Pawlikowski przez jeden sezon 1908/1909, wystawiając w tym czasie m .in. „Sędziów“ Wyspiańskiego, „Cudowne źródło“ Synge'a i „Życie człowieka“ Andrejewa.

Ustąpił jednak wkrótce, bo, jak pisał w liście do Hellera... „oddziaływanie jego na poziom i losy sceny były minimalne“, — a w referacie, przedłożonym Komisji teatralnej, stwierdził stałe, szybkie obniżanie się poziomu artystycznego teatru Hellera, prowadzonego nie pod hasłem sztuki, lecz przedsiębiorstwa dochodowego.

Rozpętała się nowa burza. Na pierwszy ogień ruszył znów H. Cepnik, deklarując się jako obrońca Hellera (z którym zresztą, nawiasem mówiąc, napisał wspólnie dwie sztuki: „Misterjum pasyjne“ i „Za gwiazdą Napoleona“, sztuki, które podzieliły los niefortunnej „Debiutantki“ Hellera). W roku 1909 pojawia się broszura: *„Dokąd dążymy?!“ — W sprawie Teatru lwowskiego głos bezstronny pod rozwagę krytyków i nie-krytyków.“*

Autor — Cepnik, — ale *„quantum mutatus ab illis“*, od swej broszurki z roku 1902, kiedy rządy teatru sprawował Pawlikowski! Obecnie dochodzi do wniosku, że

„krytyka dziennikarska musi raz na zawsze zrezygnować z wysokiego koturnu sędziowskiego, a ograniczyć się do roli... informatorki, pośredniczącej w sposób inteligentny a nadewszystko rzeczowy i beznamiętny między sceną a publicznością“.

Trzeba pamiętać, że to teatr polski, do kórego nie wolno odnosić się jakby do wroga, lecz któremu powinno się raczej ułatwiać ciężkie jego zadanie...

Teatr — przyznaje — jest przedewszystkiem instytucją artystyczną, powinien nią być przynajmniej, — ale w równej mierze jest i musi być nawet przedsiębiorstwem...

Bezprogramowość, brak jednolitego kierunku i określonego zgóry planu artystycznego, — a więc te wszystkie grzechy śmiertelne, któremi obarczał Pawlikowskiego, — obecnie, w teatrze Hellera, stają się czemś zupełnie naturalnem i słusznem:

...to tylko naturalna konsekwencja faktu, że jest tylko jeden teatr w naszem mieście i że, jako jedyny, musi wszystkim służyć równocześnie...

Taki teatr nie może absolutnie mieć programowo ułożonego, jednolitego repertuaru, musi z konieczności uwzględniać wszystkie kierunki twórczości...

Z kwestją „polskości teatru“ nietylko z nazwy, ale i z ducha, załatwia się Cepnik krótko i apodyktycznie: Za Pawlikowskiego wytykał przewagę utworów obcych nad polskimi, określając to jako „zaprzeczenie sztuki narodowej“.

Za Hellera, jak sam przyznaje, było 420 przedstawień autorów obcych, a tylko 340 polskich. Ale

...to już nie wina dyrektora, lecz wyłącznie publiczności, iż autorowie obcy większą mieli dla niej siłę atrakcyjną, niż polscy. Nie zapominajcie także, że większość naszej publiczności teatralnej, to publiczność żydowska, która woli Ibsena, Hauptmanna, Sudermanna... niż Słowackiego, Fredrę, Blizińskiego, Wyspiańskiego...

A pozatem — wina to raczej naszej krytyki, która „woła o kultywowanie sztuk oryginalnych, a gdy się pojawią, bez miłosierdzia morduje je bez noża bądź sztukę i jej autora, bądź sztuki tej wystawienie...“

I wreszcie

...teatr najbardziej nawet polski nie może odcinać się murem chińskim od reszty świata, musi być odbiciem nietylko twórczości polskiej, ale także twórczości obcej...“

Cała broszura, naszpikowana cytatami, streszcza się w tem, że najodpowiedniejszym, jedynym człowiekiem, zdolnym kierować teatrem lwowskim, jest Heller, „człowiek szalonej pracy, olbrzymiej wytrwałości, niewzruszonej woli, znający na wylot mechanizm teatralny...“

Replika Hellera

Na posiedzeniu Komisji teatralnej, dnia 5 kwietnia 1910 złożył Pawlikowski obszerny referat, w którym, w sposób spokojny i rzeczowy, wyłuszczył powody, jakie skłoniły go do ustąpienia ze stanowiska kierownika dramatu w teatrze Hellera.

Na referat ten zamierzał odpowiedzieć Heller odczytaniem swej odpowiedzi, do czego jednak Komisja nie dopuściła, już po przeczytaniu drugiego ustępu, uważając odpowiedź tę za osobistą napaść na Pawlikowskiego.

W rezultacie Heller, „jako kierownik teatru, a wolny obywatel kraju“, opublikował tę swoją odpowiedź drukiem, w broszurce: „W sprawie teatralnej“ (Lwów 1910).

Broszura roi się rzeczywiście od niesłychanych inwektyw i napaści na Pawlikowskiego, któremu Heller zarzuca niemal na każdej stronie kłamstwo, hipokryzję, demoralizowanie personelu itp. itp.

Znajdujemy tam między innemi takie kwiatuszki:

Że „Moralność pani Dulskiej“ mogła przypaść do gustu p. Pawlikowskiemu ze względu na urok, jaki tytuł musiał mieć na niego — nie wątpię...

Pisząc zaś na temat „moralności“ w teatrze pod ironicznym nagłówkiem „Pan Pawlikowski obrońca moralności“, — protestuje Heller energicznie przeciw „szarpaniu właśnie przez p. Pawlikowskiego tych, którym nigdy nie świecił pod tym względem przykładem“.

...Pan Pawlikowski... chce udowodnić Świetnej Komisji, że zaczynam prowadzić dom „Pani Warren“, Szukajmy go gdzieindziej!“...

Wylawszy całą swą żółć oświadcza wkońcu Heller, że „czuje się zwolnionym raz na zawsze od wszelkich z p. Pawlikowskim stosunków i żałuje, że pogrzebał rok życia z nim...

„Nie żałuję tylko tych pieniędzy, które mu zapłaciłem, gdyż rzucając niemi z pogardą w obecności artystów, dał mi jeszcze jeden dowód więcej — jakim jest człowiekiem...“

Tak, — w tym geście był cały Pawlikowski, „grand seigneur“ lwowskiego teatru, — który służył mu z całem poświęceniem, nietylko bezinteresownie, ale z własnym uszczerbkiem. Wielki pan... twórca nowoczesnego teatru polskiego!

* * *

W zakończeniu tego krótkiego szkicu, skreślonego w dwudziestą rocznicę śmierci Tadeusza Pawlikowskiego, — niech mi wolno będzie złożyć serdeczne podziękowanie JWP. dyr. Aleksandrowi Czołowskiemu, który — jak zawsze — z całą gotowością ułatwił mi korzystanie z przebogatych zbiorów Archiwum miejskiego, mieszczących wszystkie wyżej wspomniane broszury, z kórych niejedna należy już dziś do prawdziwych białych kruków.

JAN B. LIWOCZYNSKI

Nowa książka o Jugosławji

Wzdłuż wybrzeży morza Adrjatyckiego, na Jadranskom moru, mowa polska rozbrzmiewała w bieżącym roku w miesiącach letnich narówni z serbo-chorwacką i słoweńską. Stwierdzają to ci z pośród nas wybrani, którym było dane ostatnio odwiedzić Jugosławję. Co to znaczy? Oto, że się tam, nad morzem, realnie przejawia najwyższa składowa zbliżenia. bezpośredniość poznania kraju i ludzi. W każdym zaś razie spełnia się bodaj chęć dotarcia do ciepłego morza słowiańskiego.

Równocześnie niemal, bo niedawno, na półkach księgarskich ukazała się nowa książka z zakresu polskiej literatury podróżniczo - krajoznawczej, dotykająca szeroko spraw Jugosławji. Autorem jej jest krakowianin Dr. Stanisław Rospond, który dwa lata spędził w Jugosławji, przewędrowując w tym czasie ziemie jugosłowiańskie, zbierając pilnie notatki i wrażenia z podróży, obserwując kraj i ludzi przy uzupełnianiu tego wszystkiego lekturą i pracą naukową. Książka ma tytuł: **„Jugosławja“ (Z teki podróżnika i obserwatora).** Wydana nakładem Tow. św. Michała w Miejscu Piastowem w r. 1935, nosi na sobie jeszcze posmak zupełnej świeżości.

Autor pragnął, jak sam przyznaje w swem „Słowie wstępnem“, dać „z jednej strony itinerarium po bardzo ciekawym, pięknym i niejednokrotnie egzotycznym kraju, z drugiej niejako almanach kulturalno-historyczny“. Jego zdaniem tedy są to nietylko impresje, ale i „przemycone“ wiadomości o historji, literaturze, sztuce i wogóle o kulturze tego kraju. Widzi w niej „przewodnik turystyczny i silva rerum jugosłowiańskich“.

Podjął się wobec braku podobnych opracowań syntetycznej pracy, omawiającej całokształt życia Jugosławji.

Tyle sam autor o sobie.

Czy mu się udało?

* * *

Przyjrzyjmy się tej pracy bliżej. Co w niej jest? — Poprzedza pracę (obejmującą 362 stronice + 15 rzymskiej numeracji przedmowa, napisana przez Dr. Schwarzburg-Günthera (w czasie wydania posła Rzplitej Polskiej w Białogrodzie), witającego gorąco jej pojawienie się jako książki pięknej i cennej, bo „każda książka mówiąca jednemu narodowi o drugim, jest aktem, który waży na współżyciu obu tych narodów".

A potem zaczynamy wraz z autorem podróż.

Trasa jej taka duża. Prowadzi przez Belgrad, Zagrzeb, Lublanę, nad Adrjatyk, następnie przez Czarnogórę, Hercegowinę, Bośnię, Serbję. Autor wyjechał z zamiarem opisania ich wszystkich, przeto mu się nie śpieszy. Z drobnostkową niemal dokładnością wiedzie nas z sobą z Krakowa przez Zebrzydowice, Budapeszt,Suboticę, Novi Sad do Belgradu.

Amerykańskie tempo rozrostu stolicy Jugosławji rzuca się w oczy. Kiedy w r. 1876, w czasie przejmowania hegemonji duchowej od Novi Sadu Białogród liczył 25.178 mieszk., w r. 1900 — 80, w 1921 — 111, to dzisiaj ludność tego miasta dochodzi do 300 tysięcy.

W najnowszych czasach połączono Białogród mostem na Sawie z Zemunem i mostem na Dunaju z Panczewem, wcielając do niego te miejscowości. Ponadto przyłączono doń jeszcze 13 okolicznych wsi tak, iż obszar miasta wzrósł pięciokrotnie, a średnica zajmowanego przez nie koła wynosi około 50 km.

Czytelnik dowiaduje się całej masy szczegółów, bo cokolwiek na drodze, nie uchodzi uwagi pisarza.

Wstają przed nami piękne, a częstokroć wspaniałe budowle kulturalnego Zagrzebia tego 150-tysięcznego miasta, z jego czystemi ulicami, wśród których dominuje asfalt i doskonały bruk, z jego eleganckiemi kobietami i wybredną kuchnią, nadewszystko z jego pracą wiekową, tak bardzo około budzenia i wzmacniania świadomości narodowej zasłużoną. Nie zapomina autor o fakcie, że tutaj, także w tem mieście są i pracują ludzie, nawiązujący do łączności kulturalnej i ideowej między Polską, a Jugosławją. (Szczegóły tu i następnie omijam, by niemi nie przeciążać sprawozdania). Że teatr zagrzebski oddawna otwarł swe podwoje dla polskiego dramatu. Do dzisiaj wystawiono tu 54 sztuk i 36 autorów polskich, wśród nich największem powodzeniem cieszącego się Wyspiańskiego. Że tutaj występowali nasi artyści Wysocka, Solska, Siemaszkowa i i. Z całego szeregu spraw o Zagrzebiu wyłania się postać L. Gaja, twórcy jednolitego języka literackiego (narówni z Vukiem Karadżićem który uczynił to samo u Serbów, stąd język serbsko-chorwacki) i największego syna Chorwacji, wielkiego Jugosłowianina, Słowianofila, zarazem mecenasa sztuki biskupa J. J. Strossmayera.

Czytelnik polski, który w Zagrzebiu nie był, dowiaduje się, że w budynku Akademji Jugosłowiańskiej, fundacji wymienionego Strossmayera, spoglądną nań obrazy naszych mistrzów: Matejki („Śmierć króla Przemysława"), Siemiradzkiego („Krajobraz rzymski"), Kotarbińskiego („Ucieczka do Egiptu").

Podążamy tak z autorem przez kraіny jugosłowiańskie do Serbji włącznie, tam, gdzie się rodziła wolność, gdzie pod kopułami białej cerkwi w Topoli spoczywają Jerzy Czarny, twórca wolności, Piotr I Oswobodziciel i gdzie w marmurowem mauzoleum na górze Oplenac wśród bolesnych jęków ludu spoczęła trumna Króla-Bohatera Aleksandra I-go.



Malownicza Jugosławja: Słynne „Plitvicka Jezera".

Książka, oparta na przeżyciu, autopsji i dobrze zużytkowanej literaturze przedmiotu, przy opisie kraju kieruje się także zmysłem praktycznym. Dodano mianowicie osobno, poza mnóstwem wiadomości z zakresu całej wiedzy o Jugosławji, jeszcze inne, zebrane razem. Geografja, historja, religja, oświata i kultura, ekonomja i komunikacja, administracja kraju, prasa, język, literatura i t. p. Na osobną wzmiankę zasługuje szkic historyczno-kulturalny o stosunku Polski do Jugosławji; autor dodał nawet praktyczne rozmówki dla turysty wraz ze słowniczkiem polsko-serbochorwackim i serbochorwacko-polskim, odstępując celowo od uwydatnienia akcentowania, co oczywiście zmniejsza ich wartość praktyczną.

Całość jest, jeśli chodzi o sposób względnie formę wypowiedzenia się piszącego, szeregiem zahaczających o siebie szkiców, raczej rozprawek, raz ujętych impresyjnie, to znowu w formę rozmyślań i dygresyj historycznych, kulturalnych, politycznych. Materjału tu, prócz ściśle krajobrazowo-turystycznego, bardzo wiele, może nawet za wiele.

Coraz to inny tytuł, zawsze szczęśliwie dobrany, zachęca do reszty. Duża żywość opowiadania sprawia, że książka przy czytaniu nie nuży. Gdy trzeba, autor sięgnie nietylko do przeżycia i literatury przedmiotu. Urozmaici opowiadanie, wplatając jakąś ze swych rozmów w serbochorwackim języku, albo cytując któryś z wierszy poetów jugosłowiańskich, oczywiście w polskiem tłumaczeniu.

Z powodu mnóstwa szczegółów nie radziłbym oczywiście czytelnikowi, czy turyście czytać jednym tchem tę książkę. Jeżeli zadanie książki tkwi w pojęciu jej jako „vademecum" Polaka-turysty po Jugosławji, będzie ją czytał po kropelce, po rozdziale, stosownie do swej marszruty.

Dążenie do dokładności i wyczerpującego przedstawienia widoczne są na każdej stronie pracy. Podział treści, zresztą podziałem Jugosławji ułatwiony do pewnego stopnia, jednak przemyślany, literatura przedmiotu wyzyskana umiejętnie. Język poza kilkunastu omyłkami (drukarskiemi?) czysty. Raz śmiało rąbie sobie drogę krótkiemi, rwanemi zdaniami, to znów potem zaokrągla się i rozlewa w szerokiem, spokojnem opowiadaniu.

Gdy przy wielu objektach turystycznych z konieczności trzeba było wracać do rzeczy już poruszonych i gdy przy wielu miejscowościach przyjdzie mówić o tem samem (sprawy, ludzie), niedziw, że się niejedno, choć w innym stopniu, powtarza niejeden raz. Tę trochę gadulstwa (są rozdziały, które bez szkody dla książki możnaby opuścić lub skomprymować, np. rozdz. p. t. „Voyage autour de ma chambre"), w najlepszej chęci popełnionego, trzeba pisarzowi wybaczyć. Chciał bowiem być ciągle bezpośrednim z czytelnikiem: mówi więc wszystko, co było i jak było, jak widział, jak czuł, jak myśli. Nie streszcza się przeto.

*

Zato gdzie tylko może, nawiązuje do Polski, do Słowiańszczyzny, do słowiańskości. I na tem polega bodaj czy nie największa wartość działa. Nietylko więc ono dobrze się czyta, nietylko czytelnika i turystę informuje w sposób miły i interesujący, ale przedewszystkiem stara się go istotnie do spraw Jugosławii zbliżyć, przez roztoczenie obrazów z przeszłości Jugosłowian, podkreślanie momentów uczuciowo-zbliżeniowych czyni zeń przyjaciela Jugosławji. Umożliwiając to zapoznanie się w słowach prostych, a jednak pięknych i głębokich (szkic p. t. „Polska i Jugosławja"), stwierdzając, jak daleko sięga nasze porozumienie wzajemne i zrozumienie, słowem podkreślając, o ile jesteśmy sobie nawzajem bliscy w przeszłości i teraźniejszości przez dokładne zapoznawanie nas z ich krajem i swoje naświetlenie, — wzbudza w czytelniku dla tego kraju sympatję i przyjaźń.

Nakoniec podnieść należy, że książkę zdobi 39 ilustracyj w tekście, przedstawiających fotografje ze szczególnem uwzględnieniem krajobrazu i folkloru, a pominięciem zupełnem osób wybitnych, w którymkolwiek z działów pracy tego kraju. Jedyna, przejrzysta mapka Jugosławji ma dostarczyć ogólnej orjentacji, przyczem specjalnego oznaczenia doznały miejscowości, godne zwiedzenia.

* * *

Praca Dr. Rosponda, traktująca szczegółowo i niemal wyczerpująco sprawy Jugosławji, w jej przeszłości i teraźniejszości, a napisana lekko, żywo w miarę, nadewszystko zaś z widocznem umiłowaniem kraju i przedmiotu, może stanowić dobry, a zarazem poważny przewodnik turystyczny po tym kraju; będąc równocześnie wartościowym istotnie zbiorem wiadomości o nim, jako ważny przybytek naszej literatury z tego działu winna zająć miejsce poczesne. Zapoznając zaś dokładnie publiczność polską z Jugosławją, „siostrą z jednej rodziny słowiańskiej", posiada także głębsze, ogólne znaczenie.

ALEKSANDER MEDYNSKI

„Czarna kamienica" we Lwowie

Na witrynach księgarskich ukazało się przepiękne studjum z dziejów starego Lwowa: „Czarna Kamienica i jej mieszkańcy" pióra Dr. Łucji Charewiczowej, znanej autorki szeregu prac, opartych na gruntownem podłożu źródłowem, a oświetlających rozmaite dziedziny życia starego naszego miasta. Autorka, która może się już dziś poszczycić dużym dorobkiem naukowym, wytknęła w tej najnowszej swej pracy jako naczelne zadanie nietylko ujęcie historyczne przemian cennego architektonicznego objektu, jakim jest bezwątpienia ongiś „Lorencowiczowska", a od połowy XIX w. „Czarną" zwana rynkowa kamienica, lecz także ożywienie jej murów losem ludzi, którzy je stawiali, przed zniszczeniem bronili i w pięknej, obecnej formie dzisiejszym pokoleniom przekazali.

Gdy literatura historyczna wykazała duże zainteresowanie się staremi domami rynkowemi zwłaszcza w Krakowie, dalej w Poznaniu, Warszawie, Wilnie, Toruniu i w innych miastach, — Lwów poza zarysem historycznym ratusza pióra Franciszka Jaworskiego, nie posiadał dotychczas studjum, które poza ocenieniem zalet architektonicznych najchlubniejszych choćby budowli rynkowych, wiązały razem i życie, jakie nieraz bardzo wzmożonem tętnem pulsowało w ich murach. Wprawdzie ocenę piękna niektórych kamienic rynkowych z architektonicznego punktu widzenia, zajmowało wielu pisarzy, to życie, nurtujące w ich wnętrzu pozostało w przeważnej części nieznane. To też z prawdziwem uznaniem podkreślić należy, iż „Czarna Kamienica", w głębokiem naświetleniu Dr. Charewiczowej staje obecnie przed czytelnikiem w pełnej swej szacie a gdy w przeszłości opisywaną była w drobnych jedynie przyczynkach, obecnie ujętą została wszechstronnie, uzyskując w interpretacji autorki nietylko pełne, zewnętrzne ramy obrazu, ale i gruntowne, znakomicie ujęte tło.

Przeprowadzane obecnie przez Zarząd Miasta wielce chwalebna akcja odsłaniania nalotu handlowo - reklamowego z zabytkowych portali domów rynkowych ujawniła już nadzwyczajne bogactwo szczegółów architektonicznych i ornamentacyjnych, wobec czego rynek lwowski, odsłoniwszy swe stare dostojne oblicze, uważany jest obecnie za najpiękniejszy w Polsce, o ile chodzi o piękno wieńca kamienic, oplatających go dokoła. Równolegle z tą akcją nawrotu do dawnego ich piękna architektonicznego przemówiła „Czarna Kamienica" — „uznana za klejnot

świeckiej architektury dawnego Lwowa, za perłę lwowskiego budownictwa mieszczańskiego z czasów dawnej Rzeczpospolitej".

Za szczególnem zainteresowaniem przeglądamy zaraz z brzegu wstępne karty pięknego studjum. Wprowadzając nas w otoczenie rynkowe „Czarnej Kamienicy" dają nam one kolejno szczegółowy przegląd wszystkich starych domów rynkowych, ujęty chyba po raz pierwszy zarówno pod względem swej formy, jak i w treści na podstawie gruntownej znajomości przedmiotu, naturalnie pod kątem ogólnego punktu widzenia ze względu na właściwe założenie cennej książki. Z perspektywy dziejowej oglądamy rynek starego miasta, który ongiś skupiał na swym terenie rząd i sąd, oraz tworzył przytem ognisko ruchu handlowego, w ówczesnym organizmie urbanistycznym. W przeciwstawieniu do tej roli, jaką spełniał podówczas rynek lwowski, z biegiem czasu nastąpiła jej zmiana. Znaczenie rynku jako punktu centralnego w mieście uległo znacznemu skurczeniu się, handel przeniósł się na nowe arterje gospodarcze, a instytucje państwowe objęły administracyjno - sądowe agendy dawnego ratusza, wobec czego rynek dzisiejszy spełnia jedynie zadania targu i ożywia się ruchem załatwiających swe sprawy w murach ratuszowych, jako siedzibie władz miejskich. Po nakreśleniu charakterystycznych cech domów rynkowych poświęca utorka swe cenne uwagi przemianom architektonicznym tych domów, wskazując na to, że wieniec rynkowy odbiegł daleko od jednolitości stylowej, przyczem nawet w obrębie pojedynczych objektów zachowały się znamiona architektoniczne różnych epok. Odsłonięte niedawno bogate szczegóły architektoniczne gotyku, na którego dolnych, średniowiecznych kondygnacjach powstały renesansowe nad budowy i w dalszym rozwoju budownictwa miejskiego wystąpiły cechy architektoniczne innych stylów, znalazły w omawianej pracy pełne, oparte na bogatym materjale źródłowym naświetlenie. I przesuwają się w ten sposób przed nami kolejno od północno-wschodniego wieńca rynkowego, wszystkie stare domy: narożna kamienica Bandinellich, zwana „Robertowską", dalej lapidea Hanlowska, z którą związane jest piękne, niedawno ogłoszone studjum Dr. Charewiczowej: „Mieszczka lwowska XVI w. Zofja Hanlowa", — dalej najpiękniejszy okaz renesansowej architektury mieszkaniowej w miastach polskich: „kamienica królewska" i tak dalej przesuwają się przed nami w wieńcu rynkowym położone stare domy mieszczańskie, tworząc doskonały pod każdym względem przegląd nietylko zewnętrznych ram, ale i życia, jakie w nich pulsowało. Dla przewodników, oprowadzających wycieczki po starym lwowskim rynku, przegląd ten posiada pierwszorzędne znaczenie. W stanie posiadania tych starych domów nastąpiło w ostatnich dziesiątkach lat znaczne przesunięcie ze szkodą polskiego stanu posiadania, wśród 44 bowiem domów rynkowych, aż 21 znajduje się w posiadaniu żydowskiem, 6 należy do właścicieli Rusinów, a jedynie 17 zachowało się w rękach polskich. Kurczy się niestety polski stan posiadania na rynku starego Lwowa!...

Na szerokiem tle występuje wspaniała „lapidea Lorencowiczowska", której wytworna fasada uznaną została za najcenniejszy zabytek budownictwa mieszczańskiego z epoki renesansu. O bujnych, bogatych jej walorach nadto mówi załączona podobizna, wszechstronnie też omówiony został przez autorkę ten „klejnot świeckiej architektury dawnego Lwowa".

Jaką była wewnętrzna treść, która ożywiała te wspaniałe, zewnętrzne ramy? Na miejscu średniowiecznego domu, o daleko w Rynek zachodzących piwnicach, zniszczonego przez pożar w roku 1511, powstał nowy dom Kijowski czyli Kosznarowski, tak zwany od właściciela parceli kupca Jana Kosznara i jego zięcia Andrzeja z Kijowa. Dom ten był tylko parterowy z izdebkami na półpiętrzu, ponad świetlicą i z podcieniami na froncie, gdzie rzeźnicy sprzedawali swój towar. Górną część domu strawił pożar w roku 1571, a gdy dom odbudowano, objął go w dzierżawę Tomasz de Alberti, Włoch, przybyły z wyspy Chios, niebawem celnik ziem ruskich.

Rozpoczęła się włoska doba w dziejach „Czarnej Kamienicy". Po paru latach dzierżawy Włoch zakupił dom i w roku 1588 wzniósł po zniesieniu starej budowli renesansowy, piękny dom jednopiętrowy, już wówczas należący do najpiękniejszych kamienic rynkowych. Zamierzał wznieść i drugie piętro, ale śmierć niespodziewana położyła kres tym zamierzeniom. Umarł w bezżennym stanie, gdy go namawiano do zawarcia małżeństwa, odpowiadał, „że się nie żeni, bo się boi obyczajów niewieścich". Kamienicę objął w spadku siostrzeniec Andrzej Gargo, który skutkiem różnych zawikłań spadkowych, jak niemniej w kosztownej obronie swych praw dziedzicznych przed trybunałem królewskim, popadł w taką materjalną ruinę, że uciekł z miasta przed wierzycielami.

Kamienica przeszła w nowe ręce. Stał się jej właścicielem zamożny aptekarz Jan Lorencowicz, wójt lwowski, który fakultet artystów w uniwersytecie krakowskim ukończył i pierwsze miejsce w postępie nauk uzyskał. Ratami spłacił siedzibę rynkową, gdzie zajmował się nietylko aptekarstwem, ale i lecznictwem. Blasku rodzinie na gruncie lwowskim nadał dopiero syn jego, Jan Juljan Lorencowicz, pomiędzy viri illustres miasta zaliczony. Podróżował wiele po świecie, zdobył bacalaureat sztuk i filozofji, zwany był w mieście „liberator et servator", wdzięcznością obywateli otoczony za ocalenie mieszczańskiego honoru, nadwyrężonego przez występnego szlachcica, Samuela Niemierzyca, za co od miasta otrzymał wieniec obywatelski dla uwiecznienia jego zasług, wykuty na tarczy, trzymanej przez lwa, strzegącego wejścia do ratusza. Piękna lapidea przeszła z ręką jego córki na lekarza Habermana, a następnie po tegoż śmierci na drugiego jej męża, znakomitego patrycjusza, lekarza Marcina Nikanora Anczewskiego, który szybko po stopniach hierarchji miejskiej postępując, jest już w roku 1638 ławnikiem, a niebawem rajcą i burmistrzem. Obok uznania jego pozycji socjalnej i powagi urzędu, trafiały weń i ataki opinji, zwłaszcza wówczas, gdy w budzącym grozę roku 1648 on, długoletni dygnitarz miasta opuścił udręczoną Rzeczpospolitę lwowską, szukając bezpieczeństwa w głębi kraju. Gdy ataki ustały, reprezentował Anczewski miasto w uroczystości zaślubin Jana Kazimierza z Marją Ludwiką i piękną mową witał króla, przybywającego do Lwowa po bitwie pod Zborowem i po obronie Zbaraża. Bez obywatelskiej skazy nie był, a chociaż różne miastu świadczył usługi, gotówką mu swą służył, na reprezentacje swe koszty wykładał, ale też jak nikt inny, umiał co mu należne z miasta wydobyć. Brak miejsca nie zezwala na ujęcie pełnego konterfektu „sekretarza JK. Mości i medyka królewskiego", jakby żywcem wyjętego z pożółkłych kart ksiąg miejskich przez autorkę tej cennej rozprawy.

Z ręką jedynaczki Anczewskich Anny, lapidea Lorencowiczowska przechodzi w roku 1670 na nowego właściciela: jej męża, lekarza Andrzeja Szymonowicza. Krótkotrwałe to jednak małżeństwo rozłączyły rychło wypadki 1672 roku, gdy pani Anna Szymonowiczowa przed oblężeniem tureckiem wobec nadciągającej grozy z rodzicami wyjechała aż do Gdańska, a mąż jej, pełen respektu dla wilkierza miejskiego, nakazującego obywatelowi obowiązek obrony ojczystego miasta, pozostał w jego murach i objął dowództwo jednego z czterech okręgów. A gdy po wysiłkach obrony podjęto rokowania o okup a miasto zubożałe nie mogło wycisnąć z siebie żądanej sumy, Turcy zażądali zakładników dla pewności, że reszta okupu w sumie 75.000 talarów będzie uiszczoną, — wówczas jako jeden z pierwszych zgłosił się dr. Andrzej Szymonowicz, jakgdyby w ekspijacji za ucieczkę rodziny, — „miłość ojczyzny nad wszelkie domowe wygody przenosząc". Niewola nadspodziewanie długo przeciągnęła się i wówczas w czasie siedmioletniego pobytu w Kamieńcu, dr. Szymonowicz wiele dobrego zdziałał dla towarzyszów niewoli, których umacniał na duchu, leczył w chorobach, podejmował w ich imieniu akcję o wyzwolenie, rozbijającej się długi czas o opieszałość Rzeczypospolitej i miasta w staraniach o uwolnienie zakładników. Po latach wrócił wreszcie zgorżkniały, pełen uraz do rodziny i miasta, teścia o majątek żony pozywał, a wobec miasta z licznemi pretensjami występował, natrafiając w pożyciu z rozpieszczoną jedynaczką Anczewskich na zgrzyty, które szerokiem echem rozpływały się po mieście.

Po śmierci Szymonowicza w ciągu XVIII w., lapidea Lorencowiczowska przechodzi z rąk do rąk, i dopiero z r. 1760 staje własnością ormiańskiej rodziny Nikorowiczów, w której władaniu pozostaje przez półtora wieku, przyczem Paulina Olexińska była ostatnią z rodu Nikorowiczów, aż do roku 1911 właścicielką kamienicy, zakupionej przez adw. Dra Emila Karola Roińskiego, a po jego tragicznej śmierci w roku 1926, nabytą została przez miasto z przeznaczeniem na pomieszczenie „Muzeum Historycznego miasta Lwowa". Dostała się tedy wspaniała lapidea w trwałą i rzetelną, pełną kultu dla jej przeszłości opiekę miasta, w czem pierwszorzędna zasługa Dyrektora Archiwum, Dra Aleksandra Czołowskiego, inicjatora zarówno nabycia architektonicznego klejnotu na rzecz miasta, ale i tego, którego głównem staraniem powstały te wspaniałe zbiory, jakie zapełniły dostojne komnaty „Czarnej Kamienicy".

Nieustalonem zostało nazwisko architektonicznego twórcy tego domu i szukać należy wśród znakomitych architektów włoskich: Piotra Barbona, Pawła Rzymianina i Piotra Italczyka Krasowskiego, autora i wykonawcy planu budowy „Czarnej Kamienicy". Późniejszego pochodzenia drugie piętro powstało zapewne kosztem pierwszej Lorencowiczowskiej pary. Mąż ich wnuczki, dr. Marcin Anczewski dokonał gruntownej odnowy zarysowujących się murów, przyozdobił posągami fasadę na modłę barokową, uzupełnił attykę i zrestaurował przepych kamiennych portali parteru i I. piętra. W tej szacie przetrwała lapidea do połowy XIX w. i wówczas zmieniła nazwę Lorencowiczowskiej na miano „Czarnej Kamienicy", a restaurowana w r. 1911 i 1929, pozbyła się sztucznego nalotu i stanęła w wspaniałej szacie drogocennego zabytku architektonicznego starego Lwowa.

Literatura, poświęcona staremu miastu, wzbogaconą została cenną nadzwyczaj rozprawą Dr. Łucji Charewiczowej. Omawiane studjum jej pióra: „Czarna Kamienica i jej mieszkańcy", oparte na głębokim przeglądzie bogatych źródeł archiwalnych, w zwartej konstrukcji przyniosło wszechstronnie ujęty obraz jednego z najpiękniejszych objektów architektonicznych starego Lwowa, a obok gruntownego przedstawienia jego zewnętrznych form i licznych zmian, jakim one uległy w ciągu wieków, ożywiło dostojne mury barwnem nakreśleniem życia, jakie wzmożonem na tle danej epoki biło w nich tętnem. Piękna praca znajdzie niewątpliwie wielu czytelników i zasili bibljoteki, w których w okresie obecnego nawrotu do dziejów i kultury starego Lwowa, będzie interesującą i pożądaną lekturą.

Ciekawostki z przyrody i techniki

Złoto we Francji. Po wielkiej wojnie przystąpiono we Francji do ponownej eksploatacji złota, które w ostatnich latach przybrała silnie na intensywności. Ilość złota wydobytego w roku 1933 dochodzi do 3.000 kg., tak, że wśród krajów europejskich Francja pod względem produkcji złota zajmuje obecnie trzecie miejsce, po Rosji i Rumunji. Najwydatniejsze kopalnie złota znajdują się w Salsigne, które dają ponad połowę ogólnej produkcji.

Ilości, wydobyte we Francji w r. 1933, są minimalne w porównaniu z produkcją światową, przekraczającą 750 tonn. Jak wiadomo, największym producentem złota jest Transwal (340 tonn rocznie).

Przemysł naftowy w Sowietach. Eksport nafty sowieckiej, wynoszący w r. 1933 przeszło 6 miljonów tonn, spadł już w następnym roku do 4 miljonów, a w roku bieżącym wykazuje dalszą tendencję zniżkową.

Tłumaczy się to znacznie zwiększoną konsumcją nafty na rynku wewnętrznym, przedewszystkiem w lotnictwie, maszynach rolniczych, samochodach i t. p. Natomiast produkcja nafty pozostaje od dwóch lat na niezmienionym poziomie, dla braku wykwalifikowanych sił i udoskonalonych urządzeń technicznych.

Bawełna w Abisynji. Przed niespełna pięciu laty przeprowadzili specjaliści japońscy pierwsze doświadczenia z hodowlą bawełny na płaskowzgórzu abisyńskiem. Próby wypadły nadspodziewanie pomyślnie, tak, że obecnie koloniści japońscy zajęli już blisko 300 hektarów ziemi, na przestrzeni od granicy Erytrei do jeziora Tana, pod uprawę bawełny.

W ślad za tem idzie ciągle wzmagający się import manufaktury japońskiej do Abisynii, oraz coraz silniejszy napływ kolonistów japońskich. Hoduje się tylko uszlachetnione odmiany, sprowadzane z Japonji.

—o—

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Najnowsze modele strojnych sukien wieczorowych przypominają „dawne, dobre czasy" sprzed 30, a może i więcej lat. Duże, długie treny, nierzadko wypuszczane od samego ramienia, — przyczem modne są treny marszczone. Przód zawsze nieco krótszy od tyłu sukni, — doły często przewijane.

— Suknie zarówno wieczorowe jak popołudniowe ujęte są w pasie, zamiast zwykłego paska, grubym ozdobnym sznurem, związanym we fantastyczny węzeł. Sznury te przetykane bywają metalowemi nićmi.

— Modne są wszelakiego rodzaju wstawiane kamizelki, podchodzące bardzo wysoko pod szyję. Są one zawsze w kolorze odmiennym od całości.

— Pisaliśmy niedawno o motywach wojskowych w toalecie jesiennej. Odbija się to nawet na pijamach, przy których kaftanik, ze swojemi dużemi guzikami i szamerowaniami, przypomina mundur oficerski.

— Do stylowej sukni wieczorowej nosi się dessous ze sztywnej, szeleszczącej tafty, — znów jak przed 30 laty. Taki spód obszyty jest u góry ładną koronką, dołem bez żadnego przybrania.

— Torebki przeważnie zamszowe, w kształcie kwadratu lub trapezu. Do kostjumów sportowych — torebka ze skóry lakierowanej.

— Pantofelki na ulicę głębokie, giemzowe, na obcasie słupkowym. Do sukien wizytowych i wieczorowych na obcasie wysokim, francuskim. Pantofelki domowe przybieramy już futerkiem.

— Im bliżej zimy, tem więcej zastosowania znajduje futro, jako przybranie. A więc kostjumy 3/4 przybiera się futerkiem o krótkim włosie, farbowanem na rozmaite kolory. Przy sukniach wizytowych — obramowanie futrzane kołnierza, to znów kołnierz naszywany pośrodku sprzodu drobnemi pasemkami gronostajów. Wreszcie przy jesionkach naszyte bardzo szerokie mankiety futrzane, mogące z powodzeniem zastąpić zarękawek.

— W kolorach żadnych nowości. Dominuje czarny, dalej bronz, granat i coraz modniejszy zielony w ciemnych odcieniach.



Elegancki płaszcz wełniany w kolorze beige, przybrany puszystym lisem.

NA SEZON
JESIENNO-ZIMOWY
PŁASZCZE
SUKNIE
KOSTJUMY
w wielkim wyborze po cenach najniższych
poleca
KONFEKCJA DAMSKA
„FEMINA"
Lwów, pl. Halicki 12 a I. (Róg Batorego)
Już nadeszły najnowsze modele z Paryża i Wiednia. 1941





Najnowszą kreacją Talbota jest czarny filcowy berecik z szeroką czarną eksamitną wstążką.

WAŻNE DLA PAŃ Suknie, płaszcze, kostjumy gotowe lub na zamówienie, wykonanie tanio, szybko, solidnie znana Katolicka

Wytwórnia Strojów Damskich
Lwów, Chorążczyzny 12
(naprzeciw kina „Apollo")
2145 Stanisława Dulówna



Luźny żakiecik z szerokiemi rękawami, z prążkowanego aksamitu.

Moda w Londynie

Na popołudniowej herbatce w Claridge zbiera się cały elegancki świat stolicy. Mamy tu więc prawdziwą rewję mody, tem ciekawszą, że bez... manekinów.

Ogólne wrażenie takiej rewji: bardziej dyskretna elegancja niż w Paryżu, kolory spokojniejsze, nienaganny krój, a stosunkowo mniej oryginalnych pomysłów.

Do czarnych sukien dużo długich bardzo, białych jedwabnych kasaków, przepasanych szerokim czarnym paskiem. Przy kostjumach bluzki bez wyjątku wpuszczane pod pasek spódniczki

Bardzo popularnem jest zestawienie toalety w dwóch odcieniach niebieskich, a więc: suknia jasnoniebieska, płaszcz z ciemnoniebieskiej tafty. Wogóle tafta używana jest bardzo chętnie na płaszcze popołudniowe i wieczorne.

Ważną rolę odgrywają sztuczne kwiaty, wyrabiane misternie, jaknajdokładniej kopiujące naturę. Do ciemnej sukni przypina się całe bukieciki kwiatów w pastelowych kolorach: żółtym, różowym, lila. Kwiaty o długich łodygach, malowniczo ułożonych na sukni.

Ulubionem nakryciem głowy są rozmaite berety, zazwyczaj silnie podwinięte do góry, odsłaniające całe czoło. Dalej małe toczki, których format przypomina poniekąd czapki faszystów. Przybrane niekiedy piórami strusiemi lub koguciemi, malowniczo opadającemi wdół.

Zkolorów dominuje czarny, — dalej bronzowy, czerwony w licznych odcieniach, rzadziej złoto - miedziany i oliwkowy.

Kursy dla narzeczonych

Już po raz trzeci z rzędu urządza Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej w Poznaniu (pl. Działowy 6, I p.) kurs dla narzeczonych, trwający cztery tygodnie.

Program kursu obejmuje cykl wykładów na temat społeczne, dalej wykłady na temat wychowywania dzieci, wyprawy, urządzenia mieszkania, nowych metod pracy domowej i t. p.

Pozatem słuchaczki przechodzą praktyczne kursy gotowania, sprzątania, szycia, gospodarstwa domowego oraz pielęgnowania niemowląt. Na zakończenie wspólnerekolekcje zamknięte.

Kurs jest bezpłatny, opłata kosztów utrzymania przez czas trwania kursu wynosi zł. 40, względnie 50 od osoby.

Informacje pod wyżej podanym adresem.

Kobiety w Lidze Narodów

Jest tych kobiet wprawdzie niewiele, — ale biorą one czynny udział w pracach rozmaitych komisyj i sekcyj reprezentując poszczególne narody i państwa na terenie genewskim.

W małym tym światku najwybitniejsze miejsca zajmują: hr. Apponyi, wdowa po wybitnym węgierskim polityku, — oraz A. Kołłontaj, delegatka Sowietów, ogromnie ruchliwa, bardzo inteligentna i wykształcona osoba.

Ogólne zainteresowanie budzi p. Yen - Chen, młoda, bardzo urodziwa osóbka, przedstawicielka Chin. Z innych wymienić należy: hr. Starhemberg, reprezentantkę Austrji, znaną poetkę rumuńską Hel. Vacarescu, oraz znaną dobrze w kołach artystycznych Litwy p. Ciurlionis. Polskę reprezentuje p. H. Hubicka, Francję p. Malterre - Sellier, Anglję p. Horsbrugh, członek Izby Gmin, Szwecję senatorka p. Hesselgren, Holandję p. A. Kluywer, specjalistką od spraw finansowych w IV komisji, Czechosłowację p. Bernardova, Danję p. Forchhammer, Norwegję p. Renz.

Poradnik dla gosposi

Kapusta brukselska au gratin.

Oczyścić główeczki kapusty brukselskiej z wierzchnich listków, ugotować na pół miękko na obfitej lekko osolonej i ocukrzonej wodzie. Osączyć bardzo dokładnie.

Przygotować gęsty sos beszamel, zaprawić żółtkiem, wsypać trochę tartego sera szwajcarskiego. Wysmarować ogniotrwały półmisek masłem deserowem, ułożyć na nim brukselkę, polać beszamelem, posypać obficie tartym serem szwajcarskim, skropić masłem sklarowanem i zapiec na złoty kolor w dobrze gorącym piecu.

Krokiety z kartofli z mięsem.

Pół litra kartofli ugotowanych na sypko (dobrze odparowanych), przefasować przez sito. Dodać łyżkę masła surowego, 2 żółtka, 1 całe jajko, soli, pieprzu, siekanej zieleninki i tyle zmielonej na maszynce cielęciny ile kartofli. Wszystko to doskonale wyrobić, formować zręczne nieduże krokiety, które trzeba będzie skrążyć w mące, umaczać w jajku rozbitem i skrążyć w tartej bułeczce. Smażyć na smalcu, albo na maśle na złoty kolor. Podawać wprost z patelni, oddzielnie w sosjerce ostry sos rumiany kaparowy, albo korniszonowy.

POTRAWA Z MOSTKA Z POMIDORAMI

Ugotować mostek barani z dużą ilością włoszczyzny i z korzeniami. Po ugotowaniu wyjąć mięso z rosołu i usunąć kości, które dadzą się bardzo łatwo wyjąć. Podzielić mostek na niewielkie kawałki, ułożyć w rynce ogniotrwałej.

1 kg. dojrzanych pomidorów umyć, połamać na kawałki, udusić z masłem i cebulą. Przefasować przez sito. Zasmażyć łyżkę masła z czubatą łyżką mąki, rozprowadzić rosołem baranim, dodać marmoladę pomidorową, zagotować mieszając. Doprawić sos do smaku buljonem, solą i cukrem. Dodać siekanej natki od pietruszki. Zalać mięso sosem. wstawić na 15 minut do pieca, żeby się doskonale wygrzało. Podawać w rynce. Oddzielnie dać kluseczki kładzione albo ryż na sypko.

PIEROGI Z GRZYBAMI

Świeże grzyby, dobrze ugotowane na miękko, przysmażyć na maśle z cebulką, wbić dwa jajka, dodać soli, pieprzu, wymieszać dobrze na ogniu. Zagnieść ciasto jak zwykle na pierogi, nie zawarde, nakładać tym farszem i robić pierożki, które gotować jak zwykle i wydać na stół polane masłem z bułeczką.

SALON MÓD „ANTONINA"
Lwów, ul. SIENKIEWICZA (Hotel George'a)
poleca najnowsze modele kapeluszy damskich.
Ceny niskie. 1279

DZIESIĘĆ PRZYKAZAŃ DLA ZDROWIA I URODY

1) Przebywaj jak najwięcej na powietrzu i nie unikaj pracy fizycznej. — 2) Dbaj o prawidłowość i dokładność pracy organów trawienia. 3) Nie bądź za wygodną, próżniactwo jest grobem dla ciała. 4) Myj się codziennie po pas zimną wodą. 5) Kąp się jak najczęściej, sól w kąpiel dodaje dużo drowia. 6) Nie zapominaj, że największą ozdobą kobiety są włosy. Myj je często delikatnem mydłem, unikaj rurkowania, bo ono łamie włos. 7) Zęby raz na rok niech zobaczą dentystę, myj je szczoteczką najmniej dwa razy dziennie. 8) Dbaj o wygląd rąk i nóg. Myj je często. 9) Uważaj na postawę ciała, tak idąc jak i siedząc. Elastyczny chód doda ci wiele powabu. 10) Temi przykazaniami kieruj się nawet wówczas, gdy zostaniesz matką, a nawet babką.

Głusi słyszą, niemi mówią...

Pomówimy dziś o jednem z największych może dobrodziejstw, jakie mamy radjofonji do zawdzięczenia. Idzie tu mianowicie o głuchoniemych.

Jak wiadomo, dziecko głuche od urodzenia nie może się nauczyć mówić; co więcej — nawet dziecko, które straciło słuch w pierwszych latach życia, zapomina kompletnie mowy, choćby już poprzednio zdobyło jej początki.

Doświadczenia jednak, przeprowadzone przez lekarzy na dzieciach głuchoniemych, pozwoliły ustalić dwa doniosłe fakty. Oto najpierw — wśród dzieci głuchoniemych, poddanych badaniu, ponad 50 procent posiadało organ słuchowy, wprawdzie mniej lub więcej upośledzony, ale jednak zdolny do percepcji wrażeń słuchowych.

Skoro zaś tak jest, — dzieci te mogą w odpowiednich warunkach nietylko słuchać i słyszeć, ale i nauczyć się mówić. Z tego założenia wychodząc, tworzy się już na Zachodzie specjalne szkoły dla głuchoniemych, — szkoły, w których najważniejszym instrumentem nauczania są słuchawki, mikrofon i trioda.

Dziecko głuchonieme poddane zostaje przedewszystkiem próbie, mającej wykazać, czy i w jakim stopniu zdolne jest wogóle do percepcji wrażeń słuchowych. Do tego celu służy para zwykłych słuchawek połączonych z amplifikatorem, zapomocą którego można dowolnie wzmacniać nasilenie dźwięku (głosu czy muzyki), aż do chwili, gdy dźwięki te docierają do świadomości badanego. Zapomocą specjalnego przyrządu, zwanego audjometrem, można nakreślić dokładnie krzywą, ilustrującą dolną granicę zdolności percepcji.

Są jednak dzieci, których organ słuchowy jest zupełnie niewrażliwy na dźwięki dochodzące drogą fal powietrznych. Jest natomiast inna droga na której fale dźwiękowe mogą dotrzeć do zakończeń nerwu słuchowego, — a to przez kości, leżące bezpośrednio poza małżowiną uszną, w głębi których ukryte jest tzw. ucho wewnętrzne czyli labirynt.

Na kości te można wprost zadziałać, przykładając poza ucho specjalnie czuły przyrząd, wynaleziony przed dwoma laty przez amerykańskiego fizyka Liebera, a zwany „wibratorem". Aparat ten, pod działaniem elektromagnesu, może wytwarzać dźwięki o rozmaitej frekwencji fali, a dźwięki te mogą być dowolnie wzmacniane zapomocą amplifikatora. I tutaj więc trioda odgrywa najważniejszą rolę.

Na powyższych zasadach oparta jest nowoczesna metoda nauczania głuchoniemych, dzięki której ci nieszczęśliwi mogą „wejść w kontakt" z otaczającym ich światem dźwięków: odzyskują słuch i mowę. Szkoła taka przedstawia dość niezwykły widok: wykładowca przemawia przed mikrofonem, połączonym z amplifikatorem. Dzieci zaopatrzone są albo w słuchawki, albo we „wibrator" — w jednym i drugim wypadku połączone z małym przenośnym amplifikatorem, czerpiącym potrzebną energję z sieci elektrycznej. Każdy „słuchacz" może na swym aparacie regulować dowolnie nasilenie dochodzących go dźwięków.

Nauka wymowy następuje w ten sposób, że profesor mówi jakieś słowo, zwrócony twarzą do słuchaczy, by mogli dobrze obserwować układ jego ust przy wymawianiu (co jest postulatem klasycznym, przy nauczaniu głuchoniemych), — a następnie pisze to samo słowo na tablicy. Tak więc każdy słuchacz otrzymuje odrazu: obraz dźwiękowy danego słowa i dwa obrazy wizualne (na tablicy i na ustach profesora).

Metoda ta daje doskonałe wyniki: głuchoniemi nietylko słyszą, ale uczą się mówić, artykułować wyrazy, — a w dalszej konsekwencji zyskują możność bezpośredniego komunikowania się z ludźmi normalnymi.

Dalszym etapem na tej drodze będzie skonstruowanie małego przenośnego aparatu z amplifikatorem, zapomocą którego już nietylko w szkole, ale w każdej okoliczności życia „głuchoniemy" mógłby porozumiewać się z innymi ludźmi.

Pierwsze próby już zrobiono: istnieją podobne aparaty, dające się włączyć do każdej sieci elektrycznej. Są one jednak jeszcze stosunkowo za wielkie i za ciężkie (wagi 2 kg.).

Nie ulega wątpliwości, że aparaty te zostaną wkrótce ulepszone i uproszczone, co umożliwi każdemu głuchoniememu ich nabycie. I jeśli „głusi będą słyszeć, a niemi mówić", — trzeba to będzie zapisać na korzyść triody, tej iście „cudownej lampki", której mamy do zawdzięczenia i filmy dźwiękowe i radjofonję.

(LUCY)

Wieczory - słuchowiska i Fale

Nadawane w nowym sezonie radjowym tygodniowe „Wieczory Literackie" należą do ciekawych audycyj. Ostatnio nadawany ze Lwowa Wieczór, poświęcony był satyrze lwowskiej z drugiej połowy XIX-go wieku, a raczej ściśle biorąc jej najwybitniejszej, twórczej postaci — Janowi Lamowi. Osobistość Jana Lama ze wszech miar osobliwa i zasługująca na wiele uwagi, w małym naonczas Lwowie skrojona była nie na miarę prowincjonalnego dziennikarza, lecz europejskiego satyryka i obserwatora współczesnego życia. Dr. Włodzimierz Jampolski w przedmowie do „Wieczoru", szkicując portret Jana Lama, rzucił jego sylwetkę na tło ówczesnego środowiska, w którem nieposlednie miejsce zajmowała izba w jednej ze starych lwowskich winiarni. Mimo braku pedantycznego zestawienia danych biograficznych, a może właśnie dlatego, postać Lama w opracowaniu dr. Jampolskiego wypadła nadzwyczaj żywo i zajmująco. Ze znawstwem dobrane fragmenty pism, wzorowo recytowane z ilustracją dźwiękową, świetnie uplastyczniały twórczość już tak dawno zgasłego pisarza lwowskiego.

Audycja ta mieściła się w ramach t. zw. „Wieczorów Literackich"; swą konstrukcją jednak przypominała piękne miesięczne audycje pt.: „Wieczory Lwowskie", których kolejno przez szereg miesięcy słuchaliśmy z wielką przyjemnością i artystycznem zadowoleniem. Nie wiem, z jakiej przyczyny audycje te znikněły ze stałego programu rozgłośni lwowskiej; mam wszakże głęboką nadzieję, że kulturalna społeczność radjosłuchaczy Lwowa dobrze pamięta o tej wartościowej audycji swej regjonalnej rozgłośni.

Przemiła lwowska speakerka Celina Nahlik, niewyczerpana w wynajdywaniu świeżych tematów do swych ogrodów melodyj, zwanych dość skromnie „reportażami muzycznemi", dała nam pod tytułem „Taniec cieni" nastrojowe zestawienie szeregu melodyj i fragmentów wielkich dzieł wielkiego kompozytora — Giacomo Pucciniego. Główna zaleta tych reportaży, to doborowy i z wysokim smakiem artystycznym dokonany wybór płyt gramof., oraz lekka, a o literackiem zacięciu, łącząca je conferencierka. Dlatego nie bez słuszności można powiedzieć, iż każdy nowy reportaż muzyczny Celiny Nahlik, zdobywa coraz to większą ilość słuchaczy i amatorów.

Dobrem pociągnięciem okazało się wprowadzanie na scenę teatru Wyobraźni sztuk radjofonicznych, wybranych z repertuaru zagranicznego, tłumaczonych i odpowiednio adaptowanych do smaku radjosłuchaczy polskich. Oczywista, możliwość wielkiego wyboru stwarza warunki nadzwyczaj korzystne do wyszukania sztuk naprawdę dobrych i wartościowych. Ostatnio słyszeliśmy dwa słuchowiska, które możemy zakwalifikować do dobrej klasy utworów radjowych, jakkolwiek oba tematowo różniły się od siebie znacznie. Mam tu na myśli „Sekretarkę niewidomego" Lünzera i Wolfa i „Czy mr. Brown jest winien", G. Wolfa. Pierwsze z nich swą wprost znakomitą radjofonicznością wysuwało się na czoło wszystkich w ostatnich czasach — nadanych słuchowisk. Żywy, jasny, djalog, umiejętne ugrupowanie efektów, logiczny rozwój akcji, oto bezsporne jego zalety.

Drugie z tych słuchowisk „Czy mr. Brown jest winien", to sztuka nawskroś sensacyjna, dająca niemal stuprocentowe emocjonalne napięcie typu detektywistycznego. Lecz co ważniejsze, to jej rozwiązanie, nie mające nic wspólnego z kryminalistyką. I to właśnie uważam za jeden z najbardziej dodatnich walorów tego słuchowiska. Obie sztuki zagrane doskonale i w dobrem tempie, wykazywały staranność reżyserji i realizacji.

W ostatnich „Wesołych Falach" jak „Awantura w skrzynce pocztowej", „Kto morowiec na szybowiec" i „Spotkały się dwa Michały" dała się zauważyć pewna bardzo dodatnia, a charakterystyczna dla ich konstrukcji cecha: umiejętność operowania dostępnym materjałem, oraz ekonomiczne używanie środków i sposobów artystycznych. Jest to zasługa W. Budzyńskiego (autora, reżysera i kierownika artystycznego), który wreszcie wyzbył się jednej swej starej wady, tej mianowicie, iż chciał zbyt wiele pokazać, czy powiedzieć przy jednej okazji. A to nie zawsze osiągało zamierzony skutek. Dlatego też widząc zastosowanie pewnego umiaru artystycznego, konstatuję to z zadowoleniem.

I jeszcze słówko. O ileż wyżej stała ilustracja muzyczna Fali p. t.: „Spotkały się dwa Michały" „robiona" na dwóch fortepianach, od dawnych młóceń tych instrumentów, przez wiele o sobie mniemających, a w gruncie rzeczy mało muzykalnych „kompozyto - akompaniatorów". Poco zresztą wspominać dawne usterki. Grunt, że lwowska Wesoła Fala „trzyma fason" i żwawo płynie.

IRENA NAŁĘCZ.

Wśród wydawnictw

„OŚMIORNICA"

Nakładem Wydawnictwa św. Wojciecha w Poznaniu wyszła świeżo „powieść syberyjska" Jerzego Marlicza: „Ośmiornica". Mamy w niej ciekawe połączenie fabuły sensacyjno-kryminalnej z pierwiastkiem obyczajowym. Akcja powieści rozgrywa się w okresie przewrotu bolszewickiego na zapadłej syberyjskiej „zaimce", co dało autorowi sposobność do skreślenia kilku, doskonale podpatrzonych i świetnie opisanych scen obyczajowych. Taksamo i obrazy przyrody nakreślone bardzo plastycznie.

Intryga powieści, z ukrytą właściwie na drugim planie tytułową bohaterką, (wojennym wampem, dość szablonowym), przykuwa uwagę czytelnika. Defiluje przed nami cały korowód postaci z różnych sfer, o różnym poziomie umysłowym i moralnym, naogół dobrze scharakteryzowanych, choć może bez należytego pogłębienia psychologicznego.

Powieść, pisana żywo i mocno, zasługuje na przeczytanie.

„ZASTRZELENIE SOKOŁA"

Skąd się wzięło to określenie, popularne w świecie krytyki literackiej, o tem dowiadujemy się z doskonałego studjum o noweli, jej istocie i charakterystycznych cechach, zamieszczonego w zeszycie 8 (październikowym) III tomu encyklopedji „Świat i Życie" (wyd. Książnica-Atlas, Lwów — Warszawa).

Pozatem znajdujemy tam cały szereg fachowo opracowanych artykułów, z których szczególnej aktualności w obecnej chwili nabierają artykuły o Niemcach i ich kulturze, oraz o niewolnictwie na przestrzeni wieków.

Zeszyt zdobią liczne ilustracje, jak zawsze, starannie wykonane i dostosowane do treści.

ZASADY FIZYKI

W popularnem wydawnictwie „Biblioteki Wiedzy" wyszło świeżo w starannym przekładzie dzieło znanego uczonego wiedeńskiego, prof. dr. Artura Haasa p. t. „Zasady fizyki" (wyd. Trzaska, Evert i Michalski S. A. Warszawa).

Haas posiada rzadki, a cenny dar przedstawiania najbardziej zawiłych zagadnień w sposób nietylko przystępny, ale naprawdę pociągający. Z książki tej dowie się czytelnik o budowie materji, o świetle, cieple i elektryczności, jednem słowem o wszystkiem tem, o czem każdy przeciętnie wykształcony człowiek wiedzieć musi, a czego przestudjowanie gruntowne wymagałoby całych lat pracy i ślęczenia nad fachowemi podręcznikami.

(R.)

Metody nagrywania audycyj radjowych

Utrwalenie czy „nagrywanie" niektórych audycyj radjowych, reportaży, przemówień, fragmentów ważnych uroczystości itp., — to zagadnienie, którego zadowalniające rozwiązanie sprawiało technikom niemało kłopotów.

Spośród rozmaitych metod, stosowanych na tem polu, wymienić należy następujące najwięcej znane:

1) Nagrywanie audycyj na płytach, powleczonych miękkim woskiem. Metoda ta daje doskonałe rezultaty pod względem technicznym, ale ma swoje złe strony. Płyty takie nie trzymają się długo, a nagrywanie odbywać się musi przy pewnej, dość wysokiej temperaturze, co nie zawsze jest łatwem do przeprowadzenia.

2) Nagrywanie na płytach powleczonych celuloidem, również niezbyt trwałe.

3) Nagrywanie na taśmie stalowej (Still), który to system przyjęło i Polskie Radjo. Nadawać jednak audycje ze Stilla można tylko w studjo z uwagi na znaczny stosunkowo ciężar krążka stalowego, długości 300 mtr. i na bardzo skomplikowaną manipulację, przy której unikać się musi wszelkich, najlżejszych choćby wstrząsów.

Nowy zupełnie system „nagrywania" audycyj wprowadzony został od dwóch lat we Francji. System ten polega na podobnej zasadzie, na jakiej skonstruowane są filmy dźwiękowe, — a odnośny aparat otrzymał nazwę „Selenofon".

dźwięki o frekwencji od 30 do dziewięciu tysięcy perjodów, — a to na filmie, lub papierze fotograficznym szerokości 6 mm.

Nagrywanie odbywa się zupełnie identycznie jak we filmie dźwiękowym. Aparat ten rejestruje wszystkie Przy nadawaniu film, poprzednio wywołany i utrwalony, rzuca się na komórkę fotoelektryczną, która reprodukuje najdokładniej wszystkie dźwięki.

Nie wchodząc w omówienie szczegółów czysto technicznych, zaznaczamy, że cała manipulacja wywołania i utrwalenia filmu nie wymaga więcej jak 50 minut czasu; jeden film, długości 450 metrów pozwala na zarejstrowanie 15-minutowej audycji.

„Selenofon" — poza Francją — znalazł już zastosowanie we Włoszech, Szwajcarji, Belgji, Szwecji i Austrji.

Wielką jego zaletą jest, że cały aparat można bez trudności przenosić z miejsca na miejsce, — co jest szczególnie ważne przy reportażach radjowych, urządzanych nieraz w miejscach pozbawionych linji telefonicznych i jakiegokolwiek połączenia z najbliższą radjostacją.

(K.)

Daj grosz na T.S.L.